

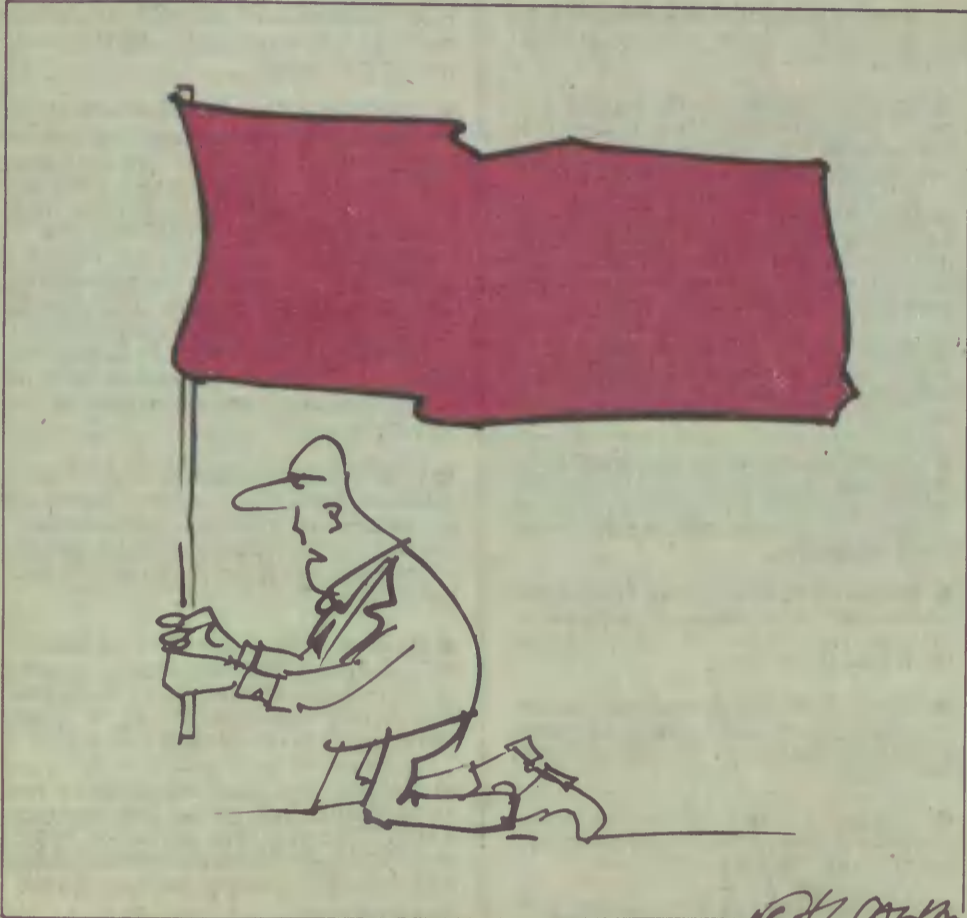
TYGODNIK GDANŃSKI

PISMO CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW NSZZ

SOLIDARNOŚĆ

ROK III 25 PAŹDZIERNIKA 1991 CENA 2500

TRADYCJA i NOWOCZESNOŚĆ



Rys. Henryk Sawka

Polskie ZOO
(przedwyborcze)

43
115

— str. 12

SZERYF HALI TARGOWEJ
(bezprawie w „Społem”)

— str. 4

Trzy lufy na krzyż
(handel bronią w Sopocie)

— str. 7

Wyborco, obudź się!

DEMOKRACJA, FRUSTRACJA

Od połowy września biorę udział w kampanii wyborczej do Sejmu, kandydując z listy „Solidarności”. Prawdziwie wolne wybory do parlamentu trafiają się nam po wojnie pierwszy raz, i żal, że nikt — z wyjątkiem samych kandydatów — nie przejmuje się nimi tak, jak naprawdę na to zasługują. Interesuje się nimi natomiast elektorat byłych komunistów, który według ostatnich przedwyborczych sondaży sygnalizuje rosnące poparcie dla swoich ugrupowań. Komuniści walczą o wpływy i swoją bezkarność, dlatego zapewne pan Leszek Miller powołuje się dziś nawet na społeczną naukę Kościoła...

Komuniści rosną w siłę — my ostatnio spadamy, lecz za to w europejskim towarzystwie Unii Demokratycznej. Najwięcej głosów tracimy na rzecz Wyborczej Akcji Katolickiej, która — wbrew przyjętym wcześniej zasadom — dostała się z agitacją wyborczą aż na ambony. Są jednak jeszcze księża i biskupi, którzy pamiętają i szanują historyczną przyjaźń Kościoła i „Solidarności”.

Ten trend, miejmy nadzieję, jest chwilowy i nie przyniesie krajowi katastrofy.

W chwili, gdy piszę ten tekst, na tydzień przed wyborami, wisi w powietrzu coś niedobrego. Podejrzane karzełki polityczne rosną, choć żaden z nich nie zdąży zapewne wyskoczyć powyżej dziesięciu procent. Większość natomiast wiarygodnych ugrupowań solidarnościowych słabnie, utrzymując się, lub schodząc poniżej owego progu głosów. W tej sytuacji hipotetyczna koalicja NSZZ „S” z pokrewnymi jej organizacjami mogłaby nie przekroczyć w Sejmie połowy mandatów, a rozdrobnienie parlamentu byłoby — jak przewidywano — na miarę głupoty lub braku wyobraźni autorów ordynacji wyborczej.

O trudnościach w tworzeniu rządu i rządzeniu krajem wolę wtedy nie myśleć...

Robi się nerwowo. Piącimy dziś za trudy reformy gospodarczej; za odwołanie terminu wyborów; za bałagan i sabotowanie zamiarów rządu przez kontraktowy parlament. Piącimy za kryzys budżetowy oraz pogorszenie warunków życia i pracy wielu grup i środowisk społecznych. Wreszcie — za doktrynerstwo i fiskalizm programu Balcerowicza; za brak polityki przemysłowej, rosnącą korupcję i niedostatki praworządności, w tym nierozliczenie komunistycznej przeszłości.

O nadchodzącym niezadowoleniu społecznym, apatii i rozgoryczeniu, a także o konkretnych źródłach utraty poparcia dla reform, „Solidarności” mówiła premierom i ministrom wielokrotnie i dużo wcześniej. Więcej przy tym, jako organizacja patriotyczna i odpowiedzialna, negocjowała niż strajkowała, wychodząc z założenia, że ostatecznej formy protestu używa się właśnie w sytuacji ostatecznej. Bardzo często głos „S” był jednak lekceważony.

Jeśli w wyniku przegranych z tego powodu wyborów doszłoby do ośmieszających Polskę prób tworzenia rządu koalicji: komunistów, Partii Przyjaciół Piwa, Unii Polityki Realnej czy Partii X — wówczas prawie trzymilionowa „Solidarności” uznać może sytuację za ostateczną...

Kompromitacji polskiej demokracji można jeszcze uniknąć. Potrzeba jednak wysokiej frekwencji wyborczej oraz otrzeźwienia narodu. Musimy po prostu gremialnie zagłosować na ludzi i organizacje sprawdzone w najtrudniejszych dla ojczyzny chwilach. Pierwszą taką siłą była i jest „Solidarności”!

Andrzej Liberadzki

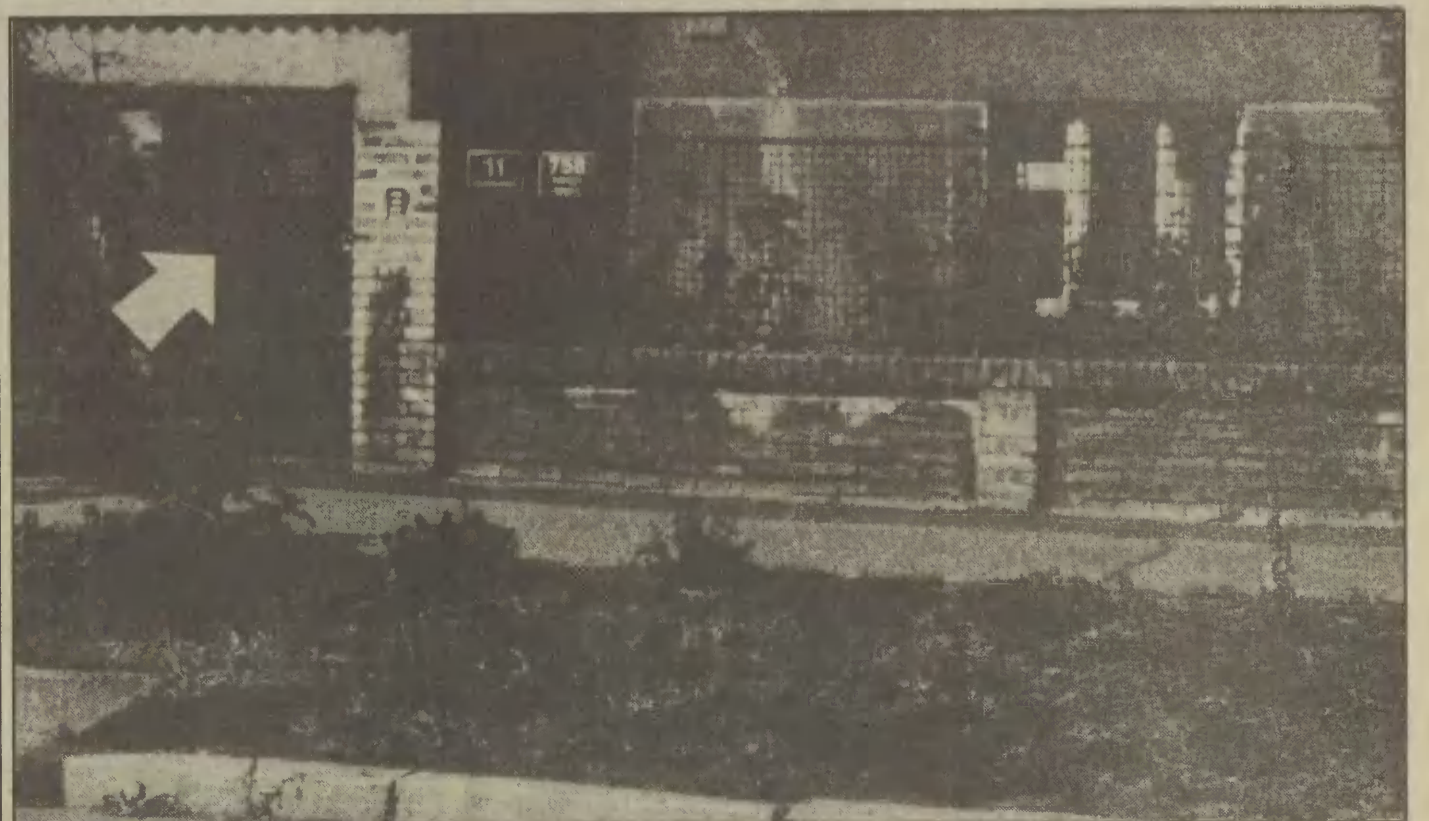
Maria Giedz

Po kokainowej nitce

W pierwszych dniach października specjalna brygada policji do walki z narkotykami udaremniła przerzut 109,2 kg kokainy — największego ładunku tego narkotyku, jaki wykryto do tej pory w Polsce. Dotarł on na pokładzie statku PLO „Polonia”, który wpłynął do gdyńskiego portu 20 września. Załadunek trefnego towaru nastąpił w kolumbijskim porcie Cartagena. Akcja polskiej policji zakończyła się powodzeniem dzięki współpracy z „Interpolem” i czecho-słowackimi służbami specjalnymi. Przesyłkę zamówiła czeska firma „Yaros”. Nasza reporterka udała się do Pragi śladem kokainowej mafii.

dokończenie str. 6

To tutaj, na ulicy Przemysłowej 11 w Pradze, swoją siedzibę miała spółka Yaros — pośrednik, sprowadzający kokainowe przesyłki. Dzisiaj nikt tu nic nie wie.



Elgaz nie ma racji

NAJPIERW MYŚLEĆ
POTEM POŻYCZAĆRozmowa z Tomaszem Uchmanem
rzecznikiem prasowym
Narodowego Banku Polskiego

— Sektor państwowy ledwo zipie, prywatny też głośno narzeka. Mówi się o blisko czterdziestoprocentowej recesji. Tymczasem, jak nie tak dawno doniosła prasa, banki osiągają rentowność ponad stu procent.

— To jakieś nieporozumienie. Średnia rentowność wszystkich banków, zarówno państwowych, jak i będących spółkami akcyjnymi, wynosi po I półroczu dwadzieścia cztery procent. Wartość, którą pan podaje, jest zupełnie nieprawdziwa.

— Niemniej, publicznie ją powtarzano. Na przykład na spotkaniu Komisji Krajowej „Solidarności” z ministrem Bochniarz.

— Tym gorzej, że taki mit w czystej postaci upowszechnia się.

— A zarzut postawiony przez gdyński Elgaz?

— Doskonale odpowiedział nań Piotr Aleksandrowicz w „Rzeczpospolitej”. Zgadza się w pełni z tezą, iż jest to obrona przez atak w wykonaniu firmy, która — jak to określa Aleksandrowicz — pieniądź kredytowy potraktowała jak manę z nieba i w wielu przypadkach przeznaczyla na inwestycje nastawione na pokaz zamiast na zysk.

— Rentowność dwadzieścia cztery to też nieźle. Co się zatem na nią składa?

— In minus koszty oczywiście, czyli czynsze, opłaty pocztowe, telekomunikacyjne, place i podatki. In plus — opłaty manipulacyjne, oprocentowanie udzielonych kredytów oraz dochody z innych operacji.

— Na przykład jakich?

— Na przykład z dyskonta weksli, lokat kapitałowych w innych bankach, zakupu bonów skarbowych i tak dalej. Oczywiście dochody banku ulegają pomniejszeniu nie tylko o koszty lecz również, a może głównie, o dochody depozytariuszy, czyli oprocentowanie wkładów. Bank ponosi również straty. Stało się niemalże normą w polskim

systemie bankowym, że odsetki od zaciągniętych kredytów spłacane są nierytmicznie, a często w ogóle.

— Czy chce pan powiedzieć, że banki również odczuwają skutki recesji?

— Ale oczywiście. Nie można przecież odrywać rentowności banków od rentowności przedsiębiorstw. Proszę zauważyć, iż wydzielone z NBP banki dostały swoją samodzielną część z całym inwentarzem zadłużeniowym polskiej gospodarki. Nie bardzo więc mają z kim robić wielkie interesy.

— Ale jakieś interesy można by robić, gdyby oferowany kredyt był tańszy. Mówi się, że wysokie oprocentowanie kredytów blokuje rozwój gospodarki kraju.

— Kolejny mit. Ruszenie gospodarki zależy tylko pośrednio od sytuacji na rynku kredytowym. Głównie natomiast od polityki gospodarczej, a ściślej przemysłowej państwa, której, jak wiemy, wyraźnie nie sformułowano.

— Pośrednio, to znaczy jak?

— Wszędzie na świecie banki są skłonne do „dawania” pieniędzy tym branżom, które mają oparcie w polityce gospodarczej rządu. Proszę mi powiedzieć, która branża, albo które z naszych przedsiębiorstw mają takie rządowe „błogosławieństwo”? Na razie żadne, choć może już wkrótce, dzięki energicznemu posunięciu nowego ministra przemysłu, to się zmieni.

— Na razie jednak, z braku jasnej sytuacji w dziedzinie polityki przemysłowej, banki muszą kierować się wyłącznie własnym interesem, a więc prowadzić odpowiednią do ich potrzeb politykę depozytowo-kredytową.

— Waszą dewizą od początku reformy było zapewnienie realnej wartości depozytów.

— I tej naczelną zasady musimy się trzymać. Bank obraca przecież z reguły cudzymi pieniędzmi. Najpierw musi je pozyskać, by następnie móc je pożyczyć. A tymczasem wszystko wskazuje na to, że realna stopa inflacji wyniesie

do końca tego roku jakieś czterdzieści procent. Tak zwany kredyt refinansowy — będący busolą dla całego systemu bankowego — musi tę wielkość przewyższać. Według niego bowiem poszczególne banki ustalają swoje, chroniące wartość depozytów, stopy procentowe. Wiadomo jednak również, że banki prowadzą swoją politykę, raz kładąc większy nacisk na pozyskiwanie wkładów, innym razem na forsowanie kredytu. Dlatego właśnie oprocentowanie przez nie oferowane różni się między sobą, a także nieraz odbiega od stopy refinansowej.

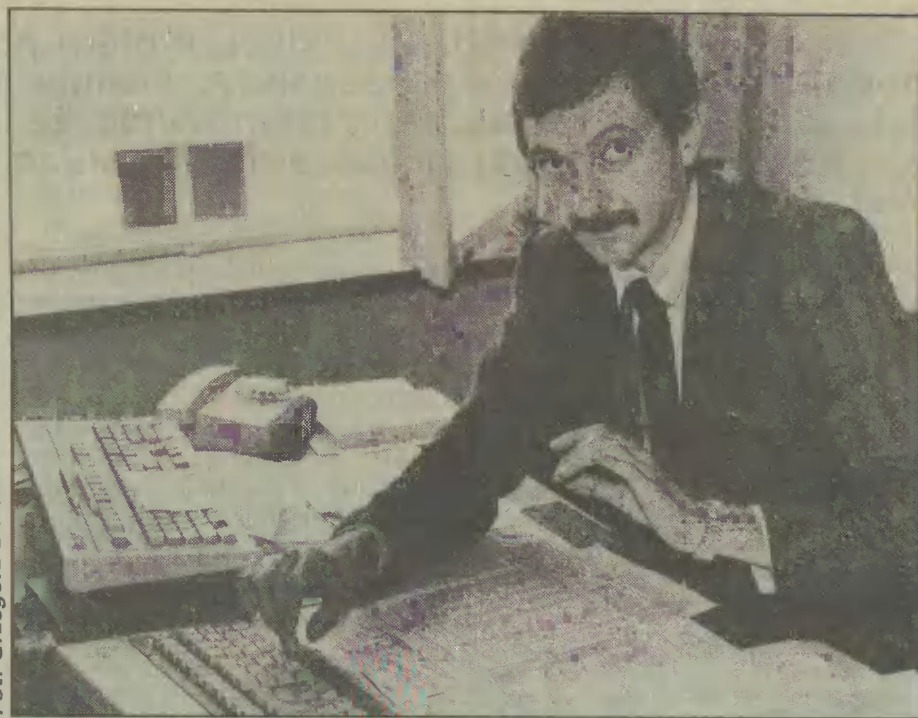
— Ostatnio można zauważyć, iż banki w ogóle niezbyt spieszą się z zmianą tej stopy.

— To prawda, ale trzeba pamiętać, że mało co tak dobrze świadczy o banku jak stabilność oprocentowania. Tu nie może być huśtawki typu — jeden dzień tak, drugi inaczej. Dlatego zarówno NBP, jak i poszczególne banki starają się nie tylko rozważnie dostosowywać oprocentowanie do bieżącej sytuacji gospodarczej, ale poprzez swoje zespoły analityczne, próbują przewidywać trendy na najbliższą i dalszą przyszłość. Jest to jednak przy obecnym rozchwianiu gospodarki bardzo trudne.

— Czy można mówić o blokowaniu akcji kredytowej?

— W sensie administracyjnym na pewno nie. Kredyt jest drogi jednak nie tylko ze względu na konieczność zagwarantowania realności oprocentowania depozytów. Również dlatego że zapotrzebowanie na pieniądź jest dużo większe niż możliwości jego kreacji. Nie tylko limit wielkości depozytów, ale również sytuacja budżetu, czyli ta popularna dziura budżetowa, odgrywa tu ogromną, negatywną rolę.

— A przedsiębiorstwa znalazły się w pułapce zadłużeniowej. Starych kredytów spłacić nie są w stanie, nowych, często na bieżącą produkcję, zaciągnąć nie mogą.



Fot. Grzegorz Dolecki

— To prawda. Pułapka zadłużeniowa wzięła się stąd, że kierownictwom zakładów zabrakło umiejętności przewidywania. Tak jakby nie bardzo wierzyły, że wziętych kredytów nie da się już umorzyć, spłacić dotacją, nie oddać, itp. Sporo w tym winy poprzedniego rządu, który rzucił hasło „twarda polityka finansowa”, ale nie za bardzo uświadomił ludziom, co za tym stoi. Jeśli chodzi zaś o domaganie się spłaty kredytów (często kategoryczne, poprzez natychmiastową wymagalność), to banki prowadzą tutaj suwerenną politykę. Jedne są bardziej skłonne do negocjacji, bardziej interesują się planami i możliwościami rozwojowymi zadłużonej firmy, inne doglądają stricte swojego interesu i trudno mieć o to do nich pretensje.

— Z powodu pata zadłużeniowego coraz częściej padają pod adresem banków propozycje rezygnacji ze ściągania należności w zamian za adekwatne do zadłużenia przedsiębiorstwa udziały przy jego prywatyzacji.

— Z tego co wiem, przynajmniej na razie, banki niezbyt chętnie o tym myślą. Nie mają ani praktyki w tym zakresie, ani specjalistów. Poza tym, generalnie rzecz biorąc, banki przecież raczej oceniają gospodarke, niż w niej uczestniczą. Niemniej, formalnie, nic nie stoi na przeszkodzie, aby przejmowały udziały w przedsiębiorstwach w zamian za długi. Mogą to robić.

— Jak prognozuje pan najbliższą przyszłość. Będzie lepiej?

— Na początku zapewne nieco gorzej. Banki przygotowujące do prywatyzacji będą na pewno chciały wejść w układy z bankami zachodnimi, a to z

kolei będzie wymagało po pierwsze podwyższenia kapitału zakładowego, a po drugie, stworzenia tak zwanego funduszu ryzyka — dotychczas praktycznie nie stosowanego w naszym systemie. Dla banków tych oznacza to ni mniej, ni więcej tylko zamrożenie pokaźnej sumy pieniędzy. Ograniczy to dodatkowo na jakiś czas akcję kredytową.

— Ale później, dzięki współpracy, czy wręcz spółkom z bankami zachodnimi, będzie lepiej?

— Mam nadzieję, że tak, chociaż ci, którzy próbowali załatwić kredyt z zagranicznych linii kredytowych wiedzą doskonale, iż co prawda jest on nisko oprocentowany, ale dostać go jest szalenie trudno. Nasi przedsiębiorcy uczą się dopiero, że by dostać taki kredyt, nie wystarczy zabezpieczenie majątkowe. Trzeba jeszcze przekonać kredytodawcę do swoich zamierzeń (najczęściej poprzez tak zwany biznes plan) no i zrobić na nim jak najlepsze wrażenie.

— Doprawdy?

— Tak, proszę się nie śmiać. Polsko-Amerykański Fundusz Przedsiębiorczości postępuje w ten właśnie sposób; przeprowadza z klientem rozmowę, w celu poznania jego osobowości. Można utrzymywać niskie oprocentowanie kredytów, jeżeli są one strzałami w dziesiątkę. Nasze banki niestety, ze względu na których wspominałem, nadal kierują się bardziej majątkowym zabezpieczeniem własnego interesu, niż tym, na co konkretnie ma być skierowana akcja kredytowa. Ale to się zmieni. Mam tę nadzieję.

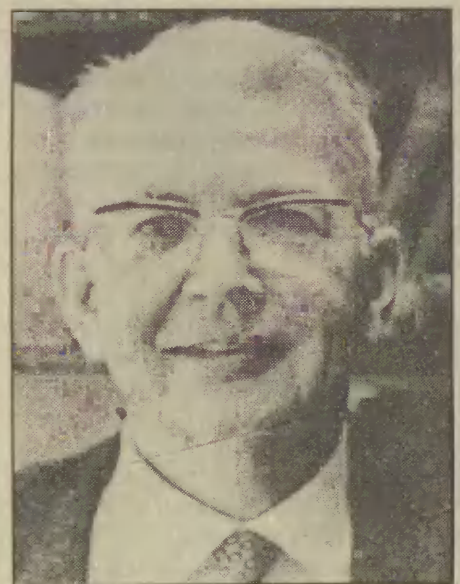
Rozmawiał:
Adam Derewicz

„Przez kilka lat wydawało się, że komitet ekonomicznej Nagrody Nobla wyczerpał listę godnych jej kandydatów. Wreszcie w tym roku przyznano ją osobie wybitnie na to zasługującej. Jest nią profesor Ronald Coase”. Tak napisał, nazajutrz po ogłoszeniu decyzji Szwedzkiej Akademii Nauk, „Financial Times”.

Nareszcie nie matematyk

Trzeba jednak przyznać, że Coase nie jest postacią powszechnie znaną nawet w światku ekonomistów. Większość jego znaczących prac powstała przed wielu laty. Popularność zdobyły dopiero w ostatnim dwudziestolecu. Ich autor reprezentuje „niemodny” dziś typ naukowca piszącego językiem prostym, komunikatywnym, nie żongluje też wyższą matematyką. To wśród współczesnych ekonomistów rzadkość, tak jak rzadkością jest praktyczna przydatność ich przematematyzowanych i przeformalizowanych teorii. Coase nie uprawia po prostu sztuki dla sztuki.

Przez długi czas pracował na wydziale prawa chicagowskiego uniwersytetu. Ale nie zalicza się do słynnej monetarystycznej „szkoły z Chicago”. Może ze względu na swój rodowód. Długie lata (1937-51) spędził w znanym London School of Economics. Urodził się bowiem w Anglii (w 1910 r.) i tam powstały jego pierwsze prace. Dotyczyły one teorii przedsiębiorstwa. Coase postawił przewrotne pytania: do czego właściwie potrzebne są firmy? Dlaczego transakcje nie są zawierane przez pojedynczych ludzi, a przez organizacje gospodarcze? Czy nie lepiej sprzedawać samemu na rynku swe wyroby niż poddawać się władzy właściciela przedsiębiorstwa? Odpowiedzi Coase opiera-



Fot. CAF

ją się na analizie kosztów transakcji (zawierania umów i zarządzania firmą). Twierdzi on, że zorganizowana firma zmniejsza koszty wielu kontraktów w stosunku do zawieranych na rynku przez niezależne podmioty (osoby). Z jego późniejszych rozważań wynika jednak, że na wiele lat przed Schumacherem zauważył, iż „małe jest piękne”.

Nie tylko w tej sprawie Coase wyprzedził swój czas. W 1960 roku w pracy

TRUDNE NOBLE

„Problemy kosztów społecznych” sformułował tzw. teoremat Coase’a. Dotyczy on, jakże aktualnej dziś, a niedocenianej wówczas, problematyki ubocznych efektów funkcjonowania gospodarki rynkowej. Konkretnie zaś — sprawy zanieczyszczenia środowiska naturalnego i wynikających stąd kosztów. Coase uważał, że kwestia ta może być rozwiązana na gruncie odpowiedniego systemu (alokacji) praw własności. W systemie tym ci, którzy produkując osiągają korzyści, ale jednocześnie zanieczyszczają środowisko, powinni rekompensować finansowe straty tym, którzy cierpią z powodu owych zanieczyszczeń. Punkt równowagi w tym systemie wyznaczony jest na poziomie zrównania strat wartości użytkowych ponoszonych przez „dotkniętych” zanieczyszczeniami z krańcowymi kosztami redukcji zanieczyszczeń, ponoszonymi przez właściciela „brudzącego” przedsiębiorstwa. Taki sposób widzenia problemu różni się wyraźnie zarówno od stanowiska liberałów, jak i punktu widzenia zwolenników interwencjonizmu państwowego. Ci pierwsi negują w ogóle zagrożenia wynikające z efektów ubocznych, drudzy zaś widzą rozwiązanie ekonomiczno-ekologicznych konfliktów tylko poprzez wzmoczoną ingerencję państwa w zakresie podatków, zakazów, kar itp.

Niewątpliwie więc tegoroczny Nobel przypadł postaci nietypowej, człowiekowi ceniącemu bardziej związki ekonomii z prawem i realnym życiem niż abstrakcyjne modele.

Piotr Dominiak

Kobieta
przeciw
przemocy

Fot. CAF

Przyznanie pokojowej Nagrody Nobla uroczej, 46-letniej Aung San Suu Kyi z Birmy, zwróciło uwagę świata na ten azjatycki kraj, w którym junta wojskowa w sposób szczególnie brutalny narusza zasady wolności i demokracji.

Postawę niezłomnej bojowniczki o prawa człowieka, jaką stała się pani Kyi, dostrzeżono już wcześniej: w 1990 roku uhonorowana została nagrodą im. Sacharowa za propagowanie wolności przekonań, natomiast w lipcu br. wyróżniono ją doroczną nagrodą Parlamentu Europejskiego. Jednakże Nobel to nagroda najbardziej prestiżowa, a fakt nadania jej kandydatce zgłoszonej przez prezydenta Czecho-Słowacji Vaclava Havla jest wyrazem moralnego poparcia dla birmańskiej opozycjonistki.

Pani Kyi nie jest w swoim kraju kimś, kto dopiero przebijają się do elit politycznych. Jej ojciec, gen. Aung San to bohater narodowy, negocjator w sprawie niepodległości Birmy, okupowanej przez 51 lat przez Brytyjczyków. Został

on (w wieku 32 lat) zamordowany w 1947 r. W następnym roku — 4 stycznia Birma stała się samodzielnym państwem. Aung San Suu Kyi kształciła się najpierw w Birmie, później w Indiach, a wreszcie w Oxfordzie, gdzie poznała swojego przyszłego męża, uniwersyteckiego wykładowcę Brytyjczyka, Michale Arisa. Jest on znawcą historii i kultury Tybetu. Obecnie pracuje jako visiting professor w Harvard University w Stanach Zjednoczonych. Po ślubie w 1972 pani Kyi kontynuowała studia. Urodziła też dwóch synów. Do kraju powróciła w 1988 by zająć się pielęgnacją

dokończenie str. 4

Wiadomo: słowo wróblem wyleci, wołem powraca, Najgorzej, gdy dowlecze się wołem propagandy. I mnie spotkał ten zarzut po felietonie „Kisiel z cukrem”, mianowicie, że uprawiam przedwyborczą propagandę na rzecz liberałów, forsując ideę powszechnej prywatyzacji.

O wszem: mam wielką przychylność do tej idei oraz jej propagatorów właśnie ze względu na jej powszechny, demokratyczny, a nadto konkretny charakter — jako pozytywnej propozycji dla całego społeczeństwa. A pozytywne myślenie wydaje się u nas czymś równie świętym, niczym Boże Narodzenie i Sylwester.

W ostatnim programie „100 pytań do...” Jeffrey Sachs wyraził dla tej propozycji podobny entuzjazm, doceniając jej zalety moralne, społeczne, organiza-

jest to efekt wysokich standardów, które jako inteligencja (?), społeczeństwo (?), przystawiamy do zamierzonych celów, toteż skupiamy się nie na zaletach przedstawianego programu (choćby powszechnej prywatyzacji), lecz na jego wadach. Nie jestem jednak pewna, czy jako naród od społeczeństwa amerykańskiego różnimy się w istocie poziomem aspiracji, czy też raczej poziomem lęku przed sytuacją zadaniową. A może po prostu też zwykłym przyzwyczajeniem...

tarnej: zanik woli działania, postradanie umiejętności wzajemnego komunikowania się oraz brak chłonności na propozycje pozytywne. Pociągają one za sobą zbiór następujących niemożności: niezdolność do jasnego precyzowania celów oraz związanych z nimi kosztów, nieumiejętność forsowania programów pozytywnych, ich promocji oraz niechęć do budowania strategii małych kroków. Ale, czy mogło być inaczej w społeczeństwie, w którym jedynym dozwolonym programem pozytywnym

Styl i pieniądze

cyjne — zwiększone tempo wprowadzania zmian oraz instytucjonalne, to znaczy tworzenie zinstytucjonalizowanych form działania nowego ustroju. Zarzuty Polaków wysuwane wobec projektu Lewandowskiego nazwał Sachs słochem dziecka zrozpaczonego na myśl o możliwości popsucia tak wielu wspaniałych zabawek. Jest w tym porównaniu coś ogromnie trafnego. Modelowano nas latami na wzór dziecka grzecznego, cichego, uległego. I pomyśleć, że zabawki prawdziwe, to znaczy władzę, przeznaczając dla wybrańców. Komunizm jako typowo represyjny system wychowania głęboko zakorzenił w nas powszechny zakaz bawienia się. No, może z wyjątkiem festynów „Trybuny Ludu”.

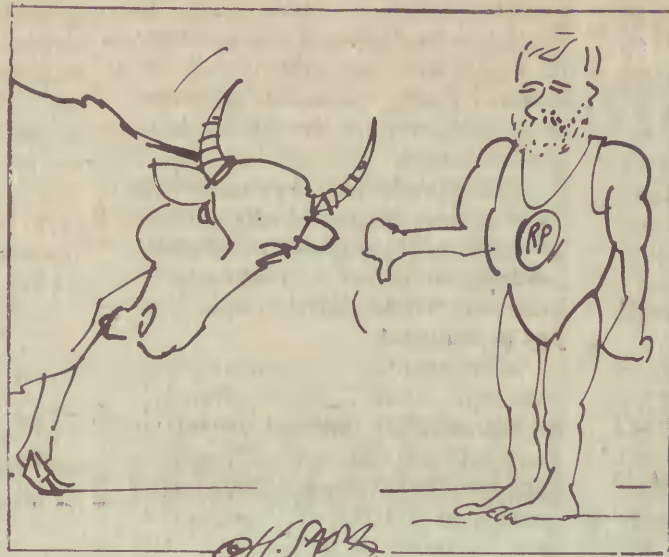
Cała ta sprawa z „uprawianiem propagandy” nasuwa z kolei inną refleksję: jako społeczeństwo nie potrafimy się ze sobą komunikować. Powiadamy: „Gwiazda, miałeś rację”, albo: „Cimoszewicz, masz rację, jest bardzo źle”. Ale czy z tego wynika dla nas coś konkretnego, praktycznego, coś co by formowało nas na przyszłość? Dlaczego nie możemy spokojnie skonstatować: ta oto propozycja podoba mi się, jest zgodna z moim systemem wartości, poczuć sprawiedliwości, ta kwestionuje moje interesy, nie odpowiada mi. Wystrzelać wszystkich! I czy nie uważacie Państwo, że tylko ona jedna ma u nas posmak wiarygodności? Bohater „100 pytań” powiada: „Nauczyłem się tego w ciągu dwóch lat, że w tym kraju wszystko atakuje się bardzo silnie”. Jego zdaniem

Niedawno w Krakowie odbyła się sesja naukowa na temat mentalności i kultury posttotalitarnej, w której uczestniczyli również takie sławy, jak Timothy Gordon Ash i Leszek Kołakowski. Z migawek prezentowanych w programie „Pegaza” rysuje się obraz mentalności jednostki opuszczonej przez komunizm. Mentalności tej przypisuje się dość specyficzne objawy chorobowe ty-

była oficjalna propaganda? Język wykreowany dla problemów wyimaginowanych — jak określił to jeden z uczestników sesji — skrywających rzeczywistość prawdziwą. W tej sytuacji tylko narzekanie, zawođenje, postawa totalnie krytyczna nosiły w sobie znamiona autentyzmu. Negacja stała się podstawową formą dialogu społeczeństwa ze swym kierownictwem, jedyną prawdziwą formą określenia i precyzowania własnej tożsamości. Przeniesienie tej formy identyfikacji obserwowaliśmy również w nowych czasach w toku kampanii wyborczej. Ba, lecz czy tego rodzaju niuanse jest w stanie uchwycić jakiś tam amerykański profesor. Oraz że styl to prawie tożsamość. Słowem, poznaj siłę swego stylu...

Skoro jednak zaczęliśmy uprawiać już tę propagandę, to trzeba ją zakończyć. Z racji zawodowych skrzywień mnie interesuje najbardziej wolicjonalny aspekt powszechnej prywatyzacji, czy też, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, motywacyjny aspekt działania jednostki. Posiadanie jakiegokolwiek cząstki kapitału zawsze wiąże się z jakimś ryzykiem, wymusza podjęcie określonej decyzji, albowiem nawet zaniechanie działania pociąga za sobą określone konsekwencje, najczęściej stratę. Powszechna prywatyzacja, czy też, jak powiedzieliby jej zagorzali wrogowie, powszechna spekulacja wymusza wielokierunkowe komunikowanie się na temat pozytywnych programów. Prześtańmy rozmawiać o ideach; porozmawiajmy o faktach, czyli o pieniądzach...

Teresa Krywow



pu lęk przed wolnością i odpowiedzialnością, równoczesny bunt i posuszeństwo, fałszywie pojęty egalitaryzm, klerykalizm — jako jedyne akceptowane formy działania zorganizowanego, jako rekompensata pozytywnie rozumianej pustki politycznej; ubóstwo duchowe jako cnota przeciwstawione liberalnej, swobodnej mentalności Europy.

Proponowany zestaw nie ma cech wyjątkowości, można go różnorodnie wzbogacać. Dla mnie istotnym kryterium powołania przyszłych zadań są dość typowe dla mentalności posttotali-

Kobieta przeciw przemocy

dokończenie ze str. 3

cją umierającej matki. Wtedy też pojawiła się na scenie politycznej.

W 1988 roku w następstwie antyrządowych demonstracji, ustąpił ze stanowiska wojskowy przywódca państwa gen. Ne Win. Ale wojsko nie dało za wygraną. Już we wrześniu 1988 bliski współpracownik Ne Wina, gen. Saw Maung objął dyktatorskie rządy. Wobec działaczy opozycji stosowane są prześladowania i tortury. Praktyką stają się też zabójstwa politycznych przeciwników reżimu. W Birnie zapanowuje dyktatura wojskowa o lewicującym charakterze. Rozwija się i utrwała oficjalna przyjaźń birmańsko-chińska, zwłaszcza że sąsiedów zbliża wspólny interes: produkcja i przemyt narkotyków. Birma z powodu deptania praw człowieka jest politycznie izolowana na arenie międzynarodowej, w dziedzinie nielegalnego handlu narkotykami staje się natomiast największym na świecie dostawcą heroiny.

Sprawowane na użytek wewnętrzny rządy silnej ręki wywołują jednak wrzenie i niezadowolenie wśród mieszkańców prawie 42-milionowego kraju. Dramatycznie pogarsza się sytuacja gos-

podarcza, a co się z tym łączy — warunki codziennego życia. Rzuca się w oczy zapóźnienie w rozwoju kraju. Birma (od 1989 oficjalna nazwa kraju brzmi — Myanmar) ustępuje nie tylko sąsiedniej Tajlandii, ale także Bangladeszowi.

Do protestów społecznych i działalności opozycyjnej dołącza Aung San Suu Kyi, która wkrótce staje się niekwestionowanym liderem społeczeństwa przeciwnego rządowi wojskowym. Władze w Rangunie pod naporem żądań społecznych zdecydowały się na zalegalizowanie partii politycznych i rozpisanie w maju 1989 wyborów parlamentarnych. Ale osoba Aung San Suu Kyi jest dla nich zbyt niebezpieczna i dlatego jeszcze przed wyborami osadzają ją na dziesięć miesięcy w areszcie domowym w pobliżu stolicy kraju. Narodowa Liga na rzecz Demokracji, której pani Kyi jest liderem, zdobywa w wyborach zdecydowaną większość mandatów. Jednakże wojsko wcale nie ma zamiaru respektować woli narodu. Opozycjonistów zamyka do więzień i nadal sprawuje władzę. Nie ustaje opór przeciw władzy. Miejscami ma on również podłoże religijne. W

południowo-zachodniej prowincji Arakan zamieszkaną w większości przez muzułmanów nasila się działalność partyzantów, dobrze wyszkolonych i uzbrojonych. Ich siły ocenia się na ok. pięć tys. żołnierzy.

Idea działania pani Kyi jest natomiast walka bez użycia przemocy. Wierzy ona w skuteczność działań pokojowych i zgodnych z konstytucją. Jest przekonana, że wreszcie muszą być przestrzegane i zrealizowane wyniki legalnych, prawomocnych wyborów parlamentarnych sprzed trzech lat. Już na początku swej działalności politycznej wybrała drogę działania zgodnego z prawem. Zwróciła się wtedy do władz wojskowych z listem zawierającym propozycję dokonania reform. Nawet po wrześniowych zamieszkach 1988, kiedy to w krwawych walkach ucierpiało wielu cywilów, stwierdziła, że nadal trzeba próbować osiągnąć cel na drodze pokojowej. Jest bardzo wątpliwe, by w grudniu w Oslo pani Aung San Suu Kyi osobiście odebrała nagrodę. Powtarza się bowiem scenariusz, znany Polakom kilka już lat wcześniej. Otóż laureatka pokojowej Nagrody Nobla ma uzasadnione powody, aby przyjąć, iż władze zezwoliły jej na wyjazd, natomiast uniemożliwią powrót...

Mieczysław Sokołowski

Gdzie NIK nie może...

Szeryf nie zdaje broni

Na spotkaniu przedwyborczym z kandydatami z listy „Solidarności” w Gdyni padło hasło: Nomenklatura w PSS „Społem” trzyma się mocno. Coś o tym wiemy. Wracamy do tematu...

Jeszcze w 1989, w jednym z pierwszych numerów „Tygodnika Gdańskiego” opublikowaliśmy artykuł ukazujący sylwetkę prezesa gdyńskiego PSS, Józefa Ciemnego, zatytułowany „Szeryf z hali targowej”. W rok później osobiście miałem przyjemność poznać pana prezesa oraz jego zastępcę, pana Piernickiego. Zbierałem wtedy materiały do artykułu zatytułowanego „Kołowanie ajenta”. Obaj panowie zapewniali mnie wówczas, że wyrzucenie na zbyty pysk agentów dwóch lokali gastronomicznych leży tylko i wyłącznie w interesie spółdzielni. Pomimo najszerszych chęci, trudno było w to uwierzyć.

— Proszę sobie wyobrazić — mówi szef spółemowskiej „Solidarności”, Stanisław Zawadzki — że po całej awanturze z próbą bezprawnego wyrzucenia na bruk agentów „Morskiego Oka” i „Panoramy” i dopięciu swego (przynajmniej jeśli chodzi o „Panoramę”) działającego rzekomo w interesie „Społem” wiceprezesa Piernickiego przeszedł do pracy w spółce „Semeco”, dla której „Panoramę” z wielkim poświęceniem uprzednio „nagrał”. A prezes Ciemny, który nie mógł znieść, że poprzedni agent płacił zaledwie 10 milionów „ajencyjnego”, przełknął bez mrugnięcia okiem fakt, iż „Semeco” miesiącami nie płaciło czynszu za „Panoramę” i nie wiadomo w ogóle czy zapłaci...

Całą listą działań kierownictwa PSS w Gdyni zajęła się ostatnio wojewódzka delegatura NIK-u. Efekt trzymiesięcznych badań inspektorów z Gdańska stanowi nader ciekawą lekturę. Użytko bowiem urzędową pieczęć coś, o czym od lat szemrała gdyńska ulica.

Ludzie wiedzieli do jakich przykładów niegospodarności dochodziło przy remoncie hali targowej w Gdyni i co się działo przy sprzedaży sprzętu z likwidowanych placówek handlowych. Do jakich kantów też dojdzie mogło we wspomnianej sprawie dwóch agentów, że o protekcyjnym przekazywaniu placówek handlowych „krewnym i znajomym królika” nie wspomnę. (Udowodniono na przykład, że na samej hali targowej 15 procent stoisk przydzielono osobom blisko spokrewnionym lub spowinowacowanym z osobami pełniącymi funkcje w administracji PSS lub w radzie nadzorczej spółdzielni).

Mozna by się spodziewać, że po urzędowym sformułowaniu zarzutów, po przesiedzeniu Ciemnym pozostanie jeno wspomnienie. O naiwności! Zarząd PSS z zimną krwią odrzucił wszystkie zarzuty jako bezpodstawne, inspektorom NIK-u zaś zarzucił stronniczość i brak kompetencji.

Zarząd w ogóle nie bardzo się przejął całą aferą. Zaleceniom pokontrolnym przyjrzeć się miała przecież rada nadzorcza i to ona miała poinformować NIK o sytuacji w spółdzielni. A rada jest wciąż prezesowi wierna...

— „Społem” to model spółdzielni konsumentko-członkowskiej z minionej epoki — mówi inny członek komisji zakładowej „S”, Edward Melerski. — Jej członkowie rekrutowali się kiedyś, przypadkowo zresztą, spośród miesz-

kańców Gdyni. I obecnie mamy w ewidencji 18 tysięcy członków. Żeby było śmieszniej, udział pracowników, czyli ludzi, którym przyszłość spółdzielni najbardziej leży na sercu, jest minimalny.

Większość z tych 18 tysięcy to zdaniami związkowców, martwe dusze, a cały układ członkowski, to czysta fikcja. Faktycznie bowiem spółdzielnią „kreści” około stu zatwardziałych działaczy — tak zwany aktyw komitetów sklepowych. No i — prezes.

— Wybory do władz spółdzielni to też fikcja — kontynuuje Melerski. Frekwencja na zebraniach obwodowych nie przekracza w sumie 200 osób. Spośród nich wybiera się 40 delegatów na walne zebranie, a oni z kolei wybierają 25-osobową radę nadzorczą. Od kilkudziesięciu lat są to te same osoby. Nie jest żadną tajemnicą, że lista nowej rady, na którą zresztą głosuje się „blokowo”, jest konsultowana, a nawet wręcz inspirowana przez zarząd.

Czy może coś się zmienić w działaniu rady, w której zasiadają emeryci, którym „wsio równo” na co głosują lub ludzie spoza spółdzielni, którym sam splendor zasiadania w radzie widać wystarcza? — pada retoryczne pytanie.

— A pięciu członków rady — pracowników „Społem” — pytam.

— Trzymając w dzierzawie placówki handlowe i nie mają żadnego interesu, by zadzierać z zarządem.

Czy można dziwić się zatem, że na posiedzeniu rady nadzorczej mającej ustosunkować się do opinii NIK-u, w tym między innymi do zdecydowanej sugestii o odwołanie prezesa, nie odbyła się żadna dyskusja na ten temat? Przedstawiono natomiast członkom rady, przygotowaną uprzednio przez kilku „najwierniejszych” odpowiedź dla NIK-u. Tytuł roboczy: NIK szuka dziury w całym.

Czy można dziwić się, że upierający się przy odczytaniu protokołu NIK-u i domagający się opuszczenia sali przez zarząd w celu niekrepowania dyskusji, solidarnościowo wiceprzewodniczący rady został okrzyknięty wicherzycielem i podżegaczem, a jego wystąpieniem towarzyszyły ironiczne uśmieszki?

— Jesteśmy białymi murzynami — mówi jedna z ekspedientek spółemowskiego „samu”. — Każdą dziewczynę można wyrzucić z pracy w danym sklepie pod byle pretekstem. Gdy się skarżymy na warunki pracy, czy na niskie płace, słyszymy: cieszcie się że w ogóle macie jakąś pracę. Bardzo trudno jest zebrać jakieś podpisy, zorganizować zebranie. Tak łatwo tu ludzi zastraszyć.

Do odesłania pracownika do kadru wystarczy wniosek kierownika sklepu, że dana osoba nie budzi jego zaufania. Kierownik odpowiada materialnie za powierzony mu majątek i jeżeli nie chce pracować z kimś, do kogo nie ma zaufania — wolno mu.

Pytanie: — Kto wybiera kierowników?

— Jak to kto?! Prezes. Szeryf z hali targowej.

Adam Derewicz

„Wszyscy wiedzą o tym, że przestępczość zorganizowana w Polsce jest faktem i zamykając oczy, mówią, że jej nie ma”.

BECZKA PROCHU

W 1990, w porównaniu z okresem sprzed roku, przestępczość wzrosła o 65 procent. Był to skok nie notowany w ciągu kilkadziesiąt lat. Wskaźnik ten nadal wzrasta. Z raptownym skokiem przestępczości borykają się również inne kraje postkomunistyczne. W związku z zaistniałą sytuacją, Instytut Prawa Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie zorganizował konferencję na temat kryminologicznych i prawnych aspektów przestępczości zorganizowanej. W spotkaniu udział wzięli prawnicy i policjanci z Czecho-Słowacji, Litwy, Francji oraz Polski.

W jakim stopniu raptowny wzrost przestępczości w krajach postkomunistycznych związany jest z przestępczością pospolitą, a w jakim ze zorganizowaną, trudno dokładnie powiedzieć. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że sprawne i zorganizowane grupy przestępcze są dziś problemem dla policji. Z informacji Interpolu wiadomo, że w Polsce dokonuje się nielegalnych operacji finansowych na wielką skalę. Jesteśmy również krajem tranzytowym i docelowym, jeżeli chodzi o przemyt narkotyków i samochodów.

Sytuacja policji — nie przygotowanej technicznie i kadrowo — jest w tych warunkach nie do pozazdroszczenia. Dodatkowym utrudnieniem w jej pracy jest brak wymiany informacji pomiędzy komendami różnych szczebli. Nie istnieje też wystarczająca wymiana wiadomości między UOP-em, a policją. Niedostateczna jest również współpraca międzynarodowa. Do tego wszystkiego przeszkodą w rozprawianiu się z gangami są luki w ustawodawstwach naszych państw, gdyż przepisy zmieniają się znacznie wolniej niż rzeczywistość.

Nie można jednak załamywać rąk. Skoro nie posiadamy jeszcze własnego programu walki ze zorganizowanym światem przestępczym, należy skorzystać z cudzych umiejętności. W Szczytnie o swoich doświadczeniach w tej mierze mówili głównie Francuzi.

Spluwa przy skroni

Kradzieżami z bronią w rękę, porwaniami ludzi i szantażami celem wymuszenia okupu zajmuje się we Francji Urząd do Spraw Gangsterskich. Oficerowie, którzy tam pracują, posiadają najwyższe kwalifikacje i uprawnienia.

Prowadzą dochodzenia nie tylko na terenie całego kraju, ale i poza jego granicami. Najwięcej napadów z bronią w rękę to napady na banki oraz na konwojentów, przewożących pieniądze. Gangsterskie grupy nie są liczne, zazwyczaj pięć — sześć osób bierze udział w akcji. Wyposażeni są w kamery i aparaty podsłuchowe, pracujące na tych samych częstotliwościach co nadajniki policji. To doskonale wyposażone technicznie pozwala im częstokroć zniknąć z lupem.

W połowie lat siedemdziesiątych gangsterzy francuscy zaczęli stosować metody mafii włoskiej. Gdy zaczęły się porwania ludzi, policja i społeczeństwo energicznie zareagowały. Rodziny porwanych odmawiały wypłacania okupów. W bardzo groźnych sytuacjach, dla ratowania najbliższych, wpłacano pieniądze, ale wtedy policja „towarzyszyła” tym transakcjom. Przestępcy najczęściej wpadali, a mocne przeżycia dla poszkodowanych kończyły się z reguły dobrze. Zdecydowane postawy policjantów i pokrzywdzonych zaowocowały. Dziś porwania ludzi we Francji należą do rzadkości. Nie znaczy jednak, że „podziemie” dało za wygraną. Jedną ze stosowanych obecnie praktyk szantażu jest zatrucie żywności. W praktyce wygląda to tak: szantażysta wchodzi do sklepu, wstrzykuje truciznę do butelki z mlekiem, a następnie telefonuje do producenta, opowiada o zdarzeniu i żąda wysokiego okupu. Często dostaje, gdyż producent chce uniknąć jeszcze większych strat finansowych. Ze sprzedaży wycofać by bowiem należało całe partie towaru.

Heroina, kokaina, amfetamina

W 1989 roku policja francuska odkryła zmiany na rynku narkotykowym.

W Europie oprócz heroiny, konopi i leków psychotropowych (używanych jako narkotyków) pojawiła się jeszcze kokaina. Dotąd zastrzeżona tylko dla rynku amerykańskiego i produkowana wyłącznie w Ameryce Południowej. Od 1980 roku produkcja kokainy wzrosła pięciokrotnie, policja amerykańska znacznie więc zaostrzyła ściganie handlarzy i producentów. Ci z kolei, dbając o swoje bezpieczeństwo, zdobyli nowe rynki. I tak kokaina drogą powietrzną dostała się do Madrytu, a stamtąd rozchodziła się do innych krajów Europy.

Istnieje również przepływ narkotyków ze Wschodu na Zachód, głównie amfetaminy. O jednym ze zdarzeń, związanych z takim przetrzuciem, opowiada podinspektor Janusz Dyda, zastępcę naczelnika Wydziału Kryminalnego w Komendzie Stołecznej:

— W czasie pielgrzymki papieża Jana Pawła II, do Polski przyjechali również członkowie gangu narkotykowego. Wybrali czas, w którym cała policja była ogromnie zajęta. Rosjanie, Austriacy i Jugosłowianie przyjechali zgładzić swojego polskiego wspólnika, który „prze walił” ich na dużą forszę. Wyposażeni byli w broń automatyczną, aparaty podsłuchowe, środki łączności bezprzewodowej i noktowizyjne. Działali bezkarnie, ponieważ nikt nie wiedział, że są na terenie naszego kraju. Gdy dostaliśmy cynk, natychmiast zatrzymaliśmy sześć osób. Niestety, policje niemiecka i austriacka nie zawiadomiły nas wcześniej o tej wizycie, choć posiadały takie informacje. Powiadomiono nas dopiero wtedy, gdy przestępcy byli już za kratkami.

Międzynarodówka policyjna współpracuje jednak ze sobą coraz lepiej. Ostatni sukces w przechwyceniu dużej partii kokainy na ms. „Polonia”, statku płynącym z Kolumbii, był możliwy dzięki współdziałaniu funkcjonariuszy Interpolu oraz organów ścigania w Polsce i Czecho-Słowacji. Piszemy o tym oddzielnie.

Pranie brudnych pieniędzy

Jest to nowy rodzaj przestępstwa nie tylko u nas, ale i w krajach zachodnich, tym bardziej groźny, że o wymiarze międzynarodowym. Pieniądze, które trzeba oczyścić, pochodzą przede wszystkim z handlu narkotykami, stręczycielstwa oraz wielkich napadów rabunkowych. Także z działalności gospodarczej, której korzenie tkwią w świecie przestępczym. We Francji zwalczaniem tego procederu zajmuje się Urząd do Spraw Zwalczania Wielkiej Przestępczości Finansowej. Komisarz Marsart z tej instytucji mówi, że gangsterzy francuscy brudne pieniądze zamieniają na czek w ten sposób uwiarygodniając dochody. Jednak nie wszystkie brudne pieniądze się pierze. Część się powtórnie inwestuje. Pieniądze, zarobione na przemyśle narkotyków w roku 1985, równały się dochodowi narodowemu Francji!

Kraje zachodnie są już przygotowane do walki z „lewymi” biznesmenami. Toteż szefowie nielegalnych interesów zaczynają poszukiwać nowych obszarów dla swojej działalności. Stąd bardzo interesujące są dla nich kraje Europy Środkowej i Wschodniej, w których prawo nie zdążyło jeszcze przystosować

się do nowych warunków. Nie ma na przykład prawnych ograniczeń przeciwko przyjmowaniu bardzo dużych pieniędzy do banków. W Polsce najczęściej takich pieniędzy pochodzi z handlu kradzionymi dziełami sztuki, złotem, platyną, brylantami oraz z przetrzutu kradzionych samochodów z zachodniej Europy do Związku Radzieckiego. Nieźle robi się też pieniądze na przemyśle wódki wysokogatunkowej i umieszczaniu jej w sprywatyzowanych sklepach.

Takie pieniądze na rynku to nie tylko okradanie Skarbu Państwa, to również walka o sferę wpływów. Mnożą się więc zabójstwa i napady z bronią w rękę. Podinspektor Janusz Dyda mówi:

— Wszyscy wiedzą o tym, że przestępczość zorganizowana w Polsce jest faktem i zamykając oczy, mówią, że jej nie ma. Jeżeli natychmiast nie zostaną podjęte bardzo energiczne działania przeciwko gangsterom, to albo reszta z nas z policji odejdzie, albo nas wystrzelają. Zatrzymujemy faceta — wiemy, że jest mózgiem „lewego” biznesu, a oni każą nam go wypuścić. Prokurator mówi, że dostał polecenie i trzeba je wykonać, bo będzie awantura polityczna. Pytam od kogo prokurator mógł w praworządym kraju dostać takie polecenie? Dlaczego ma być awantura, jeżeli zatrzymuje się gangstera? Potem ten sam prokurator zawiadamia, że za tego gościa wpłacono kaucję 400 milionów. To jest śmiech, bo ten dzentelmen zarabia miesięcznie 30 tysięcy „papierów”, to jest 330 miliardów. Dwie osoby zeznają, że facet jest mózgiem gospodarczego gangu, a nam go każą wypuścić!

Aleksandra Ciechanowicz-Sarata

Po kokainowej nitce

dokończenie ze str. 1

Cukier, ryż, fasola i kakao przypluwały z Kolumbii do Gdyni, a potem jechały na południe. Zamawiała je czeska spółka „Yaros”, natomiast oficjalnym odbiorcą tych towarów była firma „Racio Impex” z siedzibą w Hradec Králové. Z Kolumbii do Polski przywoził je polski statek, a z Gdyni do Czecho-Słowacji jechały ciężarówkami czeskiego odpowiednika PKS-u. Cała ta operacja nie wzbudziłaby żadnego podejrzenia, gdyby nie fakt odnalezienia sproszkowanej kokainy w paletach pod kartonami z kolumbijską fasolą.

Adres spółki „Yaros” i firmy „Racio Impex”

spisałam z opakowania fasoli,

badanej przez celników w gdyńskim porcie. Dotarłam na ulicę Przemysłową 11 w Pradze, w ósmej dzielnicy, już peryferyjnej. Uliczka mała, z domkami dwu-, trzyrodzinnymi. Pod numerem 11 znajduje się bliźniak dwupiętrowego domu. Obok furtki trzy dzwonki i trzy nazwiska. Żadna firma tam nie figuruje. Dzwonię pod wszystkie. Nikt nie odpowiada. Okna zamknięte na głucho. Niedaleko kilku młodych mężczyzn ścina drzewa. O firmie „Yaros” nic nie słyszełam. Pytam o przedsiębiorstwo, produkujące drewniane palety. Rozglądają się.

— Tu nie ma niczego takiego.

Po przeciwnej stronie ulicy ktoś wyrzuca śmieci i też kręci głową.

konferencja nie odbyła się,

gdyż prokuratura z Hradec Králové (Náchod znajduje się w tym rejonie) zabroniła jakichkolwiek wyjaśnień „ze względu na dobro śledztwa”. Wszelkie uzyskane dotychczas przez dziennikarzy informacje są więc niepełne i chaotyczne.

W Ministerstwie Handlu, gdzie rejestruje się wszystkie powstające prywatne spółki i przedsiębiorstwa nie ma żadnego katalogu. Nikt nie potrafi powiedzieć, czym zajmowała się spółka „Yaros”. Uprzejma pani wręcza mi gruby katalog reklam.

— Może tu coś pani odszuka. Zbyt dużo tworzy się spółek. My wydajemy im tylko zezwolenia na działalność, potem już się nimi nie interesujemy. Takiej skatalogowanej rejestracji spółek nigdzie w Czecho-Słowacji pani nie znajdzie.

Ostatnia deska ratunku — rzecznik prasowy Urzędu Celnego. On też nie chce rozmawiać. Najpierw tłumaczy po czesku, że nie wolno mu nic powiedzieć,

potem sprowadza tłumacza, bym lepiej zrozumiała, że

nikomu nie wolno w Czecho-Słowacji nic mówić

o spółce, ani o aferze kokainowej. Próbuje go przekonać, że przecież prasa już coś puściła. Na to pan rzecznik:

— Tak, ale tam było wiele błędów. Od 4 października zablokowaliśmy wszystkie informacje. Jeśli będzie można, poinformujemy was. — Trzymam za słowo — odpowiadam.

W Pradze udało mi się ustalić, że spółka „Yaros” nie produkowała drewnianych palet, jak sądzono w Polsce. Te, ze specjalnymi skrytkami na kokainę, robił kto inny na terenie Czecho-Słowacji. „Yaros” była fikcyjnym pośrednikiem i po wykryciu afery jej założyciele zostali zatrzymani przez policję. Jako spółka została zarejestrowana w Sądzie Rejonowym w Hradec Králové. Nikomu to nie przeszkadzało, że jej biuro znajdowało się w Pradze.



Fot. Jacek Piotrowski

Świat podziękował za zaproszenie i pozostał w domu...

TRZY LUFY NA KRZYŻ

Handel bronią jest tematem wstydlwym, a trudniących się nim często przyrównuje się do handlarzy narkotykami. Nie zawsze słusznie — wszak zależy kto, komu i w jakim celu sprzedaje uzbrojenie. A i zyski, choć wysokie, to przecież nie takie, jak przy obrocie „białą śmiercią”. W dodatku wprowadzane co i rusz embarga na dostawy broni czy nowoczesnej technologii potrafią zepsuć najlepszy interes. No i podbijają koszty. Bo broń najczęściej płynie nadal, tyle że drogą okrężną, najdziwniejszymi kanałami. Casus współtworzenia jądrowego arsenału Iraku przez firmy zachodnie, którym przecież nie wolno było (!) jest tutaj najlepszym przykładem.

Temat wstydlwy jest zatem również tematem delikatnym, zwykle otocznym aurą tajemnicy. Na tym rynku nikt nie chwali się obrotami.

Rabka tajemnicy — choć niektórzy twierdzą, że tajemnicy Poliszynela — przynajmniej jeśli chodzi o naszą ofertę uzbrojenia, uchylili I Międzynarodowe Targi Bronią, jakie ostatnio odbyły się w Sopocie. Najbardziej naiwni doznali tu zapewne szoku. Na własne oczy mogli się bowiem przekonać, iż „Łuczniczka” produkuje nie tylko maszyny do szycia, ale też pistolety i lekką broń maszynową. A taki „Niewiadów” na przykład, to nie tylko popularne przyczepy kempingowe, sokowirówki i młynki do kawy, ale również pociski rakietowe, miny i granaty. A kto by pomy-

ślał, że znany muzycznym fanom „Pro-nit” oprócz niegroźnych czarnych krążków produkuje całą gamę, nieco mniej bezpiecznych, ładunków specjalnych?

Niestety, z każdym krokiem zwiedzającego wystawę zdziwienie ustępowało miejsca rozczarowaniu. Nie tylko oprawa, ale co gorsza oferta targowa okazała się niezmiernie skromna, by nie rzec — ze względu na śmiertelność kontekst — wręcz śmieszna. bo jak wytłumaczyć absolutną absencję na targach naszego, stojącego przecież na przyzwoitym poziomie, przemysłu lotniczego? Elektronikę, dziedzinę decydującą o sukcesie na współczesnym polu walki, zaprezentowano również w ilościach śladowych! Kilka radiostacji „Kasprzaka” i przelicznik kierowania ogniem zaproponowany przez wrocławski IKSAiP nie mogły zatrzeć smutnego wrażenia. Trochę lepiej zaprezentował się Radwar, producent urządzeń radiolokacyjnych.

Wydaje się, iż naprawdę jedynym jasnym punktem z dziedziny Hi-Tech była oferta Przemysłowego Centrum Optyki. Obok różnego rodzaju celowników optycznych oraz doskonałych noktowizorów pasywnych, zaprezentowało ono w Sopocie czołgowy system kierowania ogniem. Jest to oryginalne polskie rozwiązanie, którego bardzo ważny element stanowi wykrywacz promieniowania laserowego. Przydatności tego urządzenia nie sposób przecenić.

Albowiem obecnie uważa się, iż bez niego żaden czołg w warunkach bojowych nie ma szans przetrwać dłużej niż do pierwszego strzału przeciwnika. Jedynie wychwycenie przez załogę czołgu faktu „namierzenia” promieniami laserowymi przez nieprzyjaciela, daje kilka sekund na wykonanie uniku przed niechybnie śmiertelnym ciosem. System ten montuje się obecnie w naszych dość nowoczesnych czołgach T 72 M 1. Problem w tym, że popyt na tanki produkowane przez Bumar — Łąbędy jest niski. Podobnie jak na transportery opancerzone i samobieżne haubice oferowane przez Hutę Stalowa Wola (już S.A.).

Gdy zabrakło tradycyjnych „więzi przyjaźni”, okazało się iż nie sztuka dzisiaj coś wyprodukować, sztuka sprzedać. I to wielka sztuka!

Krajowy przemysł zbrojeniowy od miesięcy dogorywa z braku zbytu. Stąd zapewne zrodził się pomysł, by pokazać światu, co mamy do sprzedania. Świat jednak na wystawie nie dopisał. Podziękował za zaproszenie i wykręcił się formułką, że być może w przyszłym roku, chętnie... itd. A kto ma czas rok czekać?

— Skończył się czas wyczekiwania — oświadczył jeden z wystawców („tylko bez nazwisk proszę!”). — rząd musi zdecydować, co ze zbrojeniowym fanatem zrobić. Co to znaczy urynkować przemysł zbrojeniowy? Przecież chyba nie to, że polecę na rynek z czołgiem, czy haubicą!

Musi być określona doktryna obronna (czy wojenna — mniejsza ośłowa), z niej musi wynikać struktura armii i jej zadania. W oparciu o te dane zaś trzeba podjąć konkretne decyzje: jaki sprzęt jest konieczny, ile i kto ma go produkować.

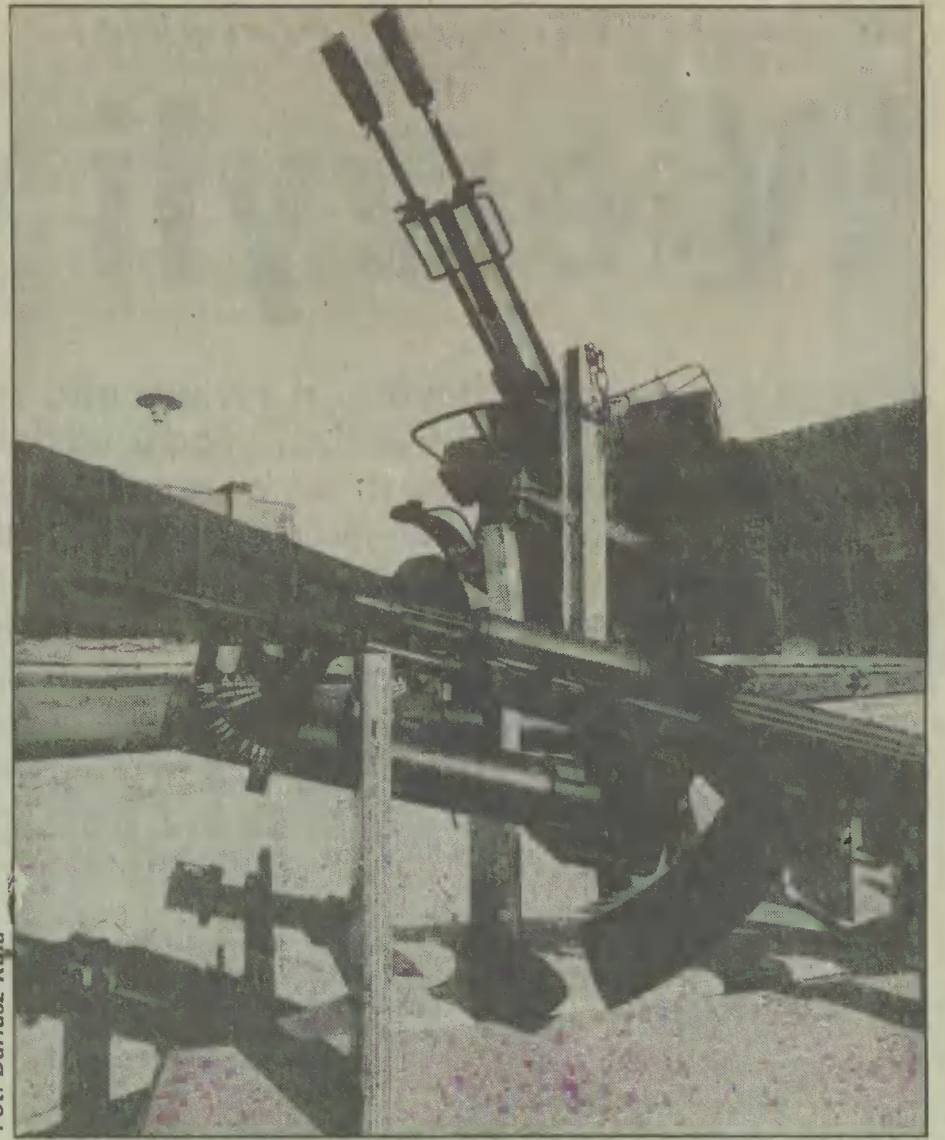
Jak tu jednak tworzyć doktrynę, gdy na Zachodzie co prawda raczej bez zmian, za to na Wschodzie wszystko zdarzyć się może i wiadomo tyle, że „albo będzie dobrze, albo będzie źle”.

— Naszą intencją, jako współorganizatorów, nie było zawieranie umów — zapewniali przedstawiciele Cenzinu, centrali handlu zagranicznego od lat eksportującej polskie uzbrojenie. — Podpisywanie i realizacja kontraktów to materia zbyt delikatna i skomplikowana. Zaprezentowana ekspozycja miała mieć raczej charakter ilustrujący i informacyjny, niż handlowy.

I miała, tylko trudno sobie wyobrazić, by rzuciła kogokolwiek na kolana. Mając świeżo w pamięci cuda techniki wojskowej zaprezentowane przez armie sprzymierzone podczas konfliktu w Zatoce Perskiej, ubóstwo krajowej oferty nie napawa optymizmem.

— Spodziewałem się tłumy zagranicznych wystawców, jakiegoś „ruchu w interesie”, możliwości konfrontacji. Z wyjątkiem dwóch czecho-słowackich rodzynek, spotkaliśmy się tutaj we własnym sosie. Tylko, że my doskonale wiemy — od lat — co każdy z nas produkuje! — skwitował imprezę inny wystawca.

Adam Derewicz
(ppor. rez.)



Fot. Dariusz Kula



Fot. Dariusz Kula



Fot. Jarosław Rybicki

Jadę więc do Hradec Králové. Dział rejestru spółek zamknięty. Idę do prokuratury, która — jako że przejście graniczne w Náchodzie znajduje się w rejonie Hradca Králové — przejęła prowadzenie sprawy. Prokuratorzy odsyłają mnie jeden do drugiego. W końcu trafiam do najlepiej poinformowanego. Odmawia rozmowy o sprawie kokainowej. Znowu robię podchody, uśmiecham się... Na niewiele się to jednak zdaje. Czeszy prokuratorzy mają pretensje do policji, że zbyt wcześnie udostępniła prasie informacje o przemyśle kokainy. Twierdzą, że w ten sposób jedna z największych na świecie mafii narkotykowych uniknęła dekonspiracji i aresztowań.

O tej sprawie nie chcą także mówić tak zwane „osoby postronne”. Powstała ogólna psychoza. Ponieważ ostatnio zwiększyła się liczba napadów i kradzieży, głównie dokonywanych przez cygańskie i rumuńskie gangi, a teraz jeszcze ten przemyt narkotyków;

ludzie boją się,

po zmroku przestają wychodzić na ulicę. Funkcjonariusze prowadzący sprawę kokainową wolą występować incognito ze względu na własne bezpieczeństwo. Pewnie i dlatego w Hradcu Králové na ulicy Nierudova 18 nikt z mieszkańców trzpiętrowej kamienicy nie chciał mi wskazać lokalu, w którym mieściła się firma „Racio Impex”. Szylku żadnego oczywiście nie było.

Zapewne, gdyby nie współpraca polskiej i czeskiej policji z „Interpolem”, to nikt nie odkryłby dwóch kontenerów z ukrytą w nich kokainą. Pierwsze dwa transporty importowanego z Kolumbii cukru i ryżu — oraz prawdopodobnie ukryta pod nimi kokaina — dotarły do Czecho-Słowacji, a potem dalej do Niemiec i Holandii bez przeszkód. Dopiero w sobotę 28 września czescy celnicy w miejscowości Náchod-Běloves zatrzymali ciężarówkę, wiozącą kolumbijską fasolę. Fasola miała dojechać do miejscowości Smržov, niedaleko Hradec

Králové, gdzie spółka „Yaros” posiadała swój magazyn. W poniedziałek 30 września, po przeszukaniu ciężarówki, znaleziono w niej 98 kg „białej śmierci”. Proszek znajdował się w małych igielitowych torebkach, włożonych do metalowych pojemników i ukryty w podstawach drewnianych transportowych palet. Zawartość ciężarówki, poza 21 tonami fasoli, czeska policja wycenia na 3,5 mln DM. Aczkolwiek, jak tłumaczono mi w prokuraturze, proszek przed przystosowaniem go do spożycia jest tylko bezwartościowym surowcem.

Z nieznanych przyczyn, drugi faszolowy kontener pozostał nadal w porcie gdyńskim. Po otwarciu go okazało się, że w nim również w ten sam sposób ukryto kokainowy proszek. Co prawda prasa czeska podawała, że pojemniki z kokainą miały wymiary 4x4x14, a polska że 5x5x15 cm, to sam towar był identyczny. Różnicę w wymiarach uzależnia się od kształtu i długości pojemnika, do którego wciśnięto igielitowe torebki z proszkiem oraz od grubości metalowej objemki.

10 października w gdyńskim porcie znalazła się kolejna przesyłka dla „Racio Impex”, tym razem z kakao. Według wstępnych eksportyż

nie ukryto w nim kokainy,

a policja polska i czeska przypuszczają, że ta nić kolumbijskiego handlu narkotykami została ostatecznie przecięta. Jedną z początkowych wersji organów ścigania było uznanie „Racio Impex” za firmę importującą artykuły spożywcze, a spółkę „Yaros” za producenta drewniane palety. Później okazało się, że były to dwie fikcyjne instytucje, prowadzone przez tę samą osobę. Razem, obie instytucje zatrudniały trzech pracowników. Właścicielem był Kolumbijczyk, 52-letni A.D. Martinez Delgado. Jego współpracownikami i współwłaścicielami byli dwaj Czesi: 31-letni prawnik Dušan K. z Pragi oraz 37-letni Milan V. z Hradec Králové. Nieoficjalnie, pocztą pantoflową, podaje się, że czescy współwłaściciele spółki „Yaros”, a jednocześnie

przedstawiciele „Racio Impex”, pracowali niegdyś w czeskiej policji.

Cała trójka została aresztowana i prowadzone jest przeciwko nim dochodzenie.

Polska dla kokainowej przesyłki była krajem wyłącznie tranzytowym, więc przewoźnicy z PLO i „Cěchofrachtu” z Liberca nie zostali w całą sprawę wtajemniczeni. Dopiero na terenie Czecho-Słowacji wymieniano ładunek, pozostawiając palety, i już jako żywność czeską wieziono go — dla zatarcia śladów — przez Holandię do Niemiec.

Dzisiaj wiadomo już, że wykryta w Náchodzie i Gdyni sproszkowana kokaina stanowi jeden z największych ilościowo i wartościowo przerzutów narkotykowych do Europy. Po jej przerobieniu na narkotyki, już poza granicami Czecho-Słowacji, wartość poszczególnych ładunków wycenia się na około 30 mln DM.

Maria Giedz

W kręgu „Kultury” paryskiej

Barbara Sułek-Kowalska

Wierzyli w inną Polskę

Dobrze by się stało, gdyby od zwiedzania tej wystawy zaczęli rok akademicki studenci — niezależnie od wydziału — i ich profesorowie. Na dziennikarstwie, historii, czy powiedzmy filologii polskiej. Mogła by się ona stać punktem wyjściowym do dyskusji i rozważań. Przydał by się jej taki rozgłos, aby żaden dziennikarz nie mógł powiedzieć, iż o niej nie wiedział i w związku z tym jej nie widział. Także żaden polityk, działacz, artysta, inżynier, nauczyciel, i tak dalej. Zobaczyć ją powinni ci wszyscy, którzy sądzą, że potrafią i chcą myśleć o Polsce.

Chodzi o wystawę „W kręgu paryskiej »KULTURY«, przygotowaną w warszawskim Muzeum Literatury, a otwartą we wrześniu. Oglądać ją będzie można do marca przyszłego roku.

W kręgu paryskiej „Kultury”... Wszyscy byliśmy w tym kręgu, choć nie wszyscy w taki sam sposób. Dla wielu spośród nas, właściwie dla większości, oddziaływanie „Kultury” — a więc wejście w jej krąg — zaczynało się wtedy, kiedy była ona niszczone, opluwana, kiedyśmy, nie wiedząc nawet o kogo i o co chodzi, słuchali w radiu odczytywanych z „Trybuny Ludu” czy „Prawa i Życia” tekstów, takich jak ten: „Ludzie z »Kultury« są po prostu garstką sprytnych facetów, dla których

Hej, baczność cisi! Śledzić ludzi pióra!
Dziś już z za węgla nam nie grozi wróg!
Dziś naszym wrogiem paryska „Kultura”
Więc jej kontaktów w kraju śledźmy^o
ruch!

(J. Szpotański, „Hymn Cichych”)

Dywersyjna działalność przeciw socjalizmowi

Taki właśnie był krąg „Kultury” widziany z kraju i tak właśnie zaczyna się ta wystawa: od pokazania jak dalece nieobojętne było zajmowanie się „Kulturą”, co za to groziło i jak takie groźby były realizowane. Są pokazane na wy-

nych” czyli w tak zwanej sprawie taterników. Warto może przypomnieć, że rzecz działa się w latach 1968-1970 i dotyczyła grupy ludzi, próbujących organizacyjnej i dziennikarskiej współpracy z „Kulturą”. Dziś jeszcze, po tylu latach, wygłoszona przez nich podczas rozprawy obrońca „Kultury” przynosi im zaszczyt i warta jest wnikliwej lektury, podobnie jak przynosi „Kulturze” chwałę to wszystko, co przeciwko niej wygłosił na tej rozprawie prokurator i co znalazło się w uzasadnieniu wyroku.

„W ostatnich latach — czytamy w tym dokumencie — »Kultura« jeszcze bardziej podkreśla swoje dążenie do odgrywania roli organizatorskiego ośrodka walki z socjalizmem w Polsce i jak sama stwierdza... »pragnie być katalizatorem myśli i skupiskiem sił gotowych do działania...

Realizując ten program »Kultura« — grzmiał zapewne prokurator — nastawiona została na różne formy dywersyjnej działalności wymierzonej przeciwko ustrojowi socjalistycznemu w Polsce (...). Biblioteka »Kultury« jest w tej chwili najważniejszym zapleczem źródłowym w języku polskim dla antysocjalistycznej działalności”.

Żeby nie było żadnych wątpliwości, wyjaśniał:

„»Kultura« nie jest pismem przeznaczonym dla czytelnika masowego; jest to pismo, które świadomie koncentruje się na pewnych grupach naszego społeczeństwa, a szczególnie na inteligencji twórczej — środowiskach intelektualnych, dążąc w ten sposób do osłabienia naszego frontu ideologicznego (...) I to jest właśnie przyczyną szczególnego eksponowania takich problemów, jak swoboda twórczości artystycznej, literackiej i naukowej, sprawy cenzury, itp., a więc problemów, które najżywiej i niejako zawodowo nurtują te środowiska”.

Władza, która mówiła takie rzeczy, nie była oderwana od „swojego” społeczeństwa. Wiedziała wszak dobrze, co je „najżywiej” nurtuje. I dlatego nie mogła sobie pozwolić na to, by krajowy czytelnik brał „Kulturę” do ręki. Musiała wzbudzić nieufność do niej i strach przed nią za wszelką cenę.

I wzbudzała. Wzbudzała tak bardzo, że w opinii komisarzy wystawy, Łukasza Kossowskiego i Kazimierza Dąbrowskiego, nieufność ta trwa do dziś. Ich zdaniem nikt „Kulturze” niczego oficjalnie nie zarzucił, ale bardzo wiele prominentnych dziś osób uważa, że lepiej się z „Kulturą” za blisko nie wiązać (bo nigdy nie wiadomo, co może z tego wyniknąć). Nawet i sponsorów

W KRĘGU PARYSKIEJ KULTURY



Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie Wystawa

trudno było znaleźć, choć tylu jest dziś przy władzy tych, którzy „Kulturze” mają coś do zawdzięczenia.

Kisielewski nie doczekał

Na wystawie pokazane są wszystkie, wydane przez Instytut Literacki, książki. W muzeum podkreśla się, że bez pomocy Jerzego Giedroycia nie byłoby to możliwe, bo jednak nie wszystkie były w zbiorach tej instytucji. Jest to dorobek imponujący nazwiskami, ale liczebnością też! Pokazani są — chociaż może za słabo — krajowi współpracownicy „Kultury”. Postać bodaj czy nie symboliczną jest tu Stefan Kisielewski, związany z Jerzym Giedroyciem więzami z lat młodości jeszcze współpracy. Na czterdziestolecie „Kultury” tak wspominał Stefan Kisielewski w wydanej na tę okazję publikacji:

„Rzecz zaczęła się w styczniu roku 1936, a jej motorem był mój kolega z warszawskiego konserwatorium, z czasem światowej sławy pianista, Witold Małcużyński oraz jego przyjaciel, początkujący literat i dziennikarz Paweł Dziedzowski. Uważali oni, że poza graniem na fortepianie i komponowaniem, powinienem stale pisać do prasy o muzyce, czytali bowiem jakieś próbki moich muzycznych recenzji. Oświadczyli mi, że zaprowadzą mnie do swego znajomego, »radcy« Jerzego Giedroycia, wydającego i redagującego dwutygodnik »Bunt Młodych«. Nigdy dotąd o takim piśmie ani o takim redak-

torze nie słyszałem, ale zaprowadzić się pozwoliłem (...) I w ten sposób dnia 10 lutego 1936 ukazał się w »Buncie Młodych« pierwszy mój felieton, zatytułowany »Coś o muzyce«. I był to w istocie jeden z dwóch czy trzech moich artykułów, jakie w Giedroyciowym organie popiełem na ten dźwiękowy temat. Od razu bowiem, zorientowawszy się, co w trawie piszczy, jąłem tam pisać o... polityce, kulturze, literaturze i z przerwami (pobyty w Paryżu) pozostałem pismu wierny, aż po ostatni jego numer, który nosił datę... 3 września 1939. Z tym, że dwutygodnik »Bunt Młodych« jesienią 1937 zamienił się w tygodnik »Polityka«, co w »Cyruliku Warszawskim« pokwitowano wierszykiem:

Młodzi już się zestarli, hier begraben ist der Hund.

Wolać więc politykować niż uprawiać dalej bunt.

Pozostał wierny temu pismu, temu redaktorowi i tej przyjaźni do końca. W dzień pogrzebu Stefana Kisielewskiego odprawiona została w Paryżu, u ojców pallotynów, msza święta w Jego intencji.

Na wystawie w Muzeum Literatury fotografie Stefana Kisielewskiego i Jana Józefa Lipskiego przewiązane czarną wstążką. Kisielewski byłby z niej pewnie zadowolony, bowiem znakomicie ilustruje Jego zdanie o dokonaniach Jerzego Giedroycia, którego nazwał *nieugiętą, przebojową lokomotywą pracy, koncepcji, pomysłów* i wobec którego nakazywał: *Hut ab, meine Herren!*



Jerzy Giedroyc, lata dwudzieste. Zdjęcie z Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego

wszystko co polskie stało się już w gruncie rzeczy zupełnie obce”.

Ten akurat fragment wyjęto z „Życia Warszawy”, rocznik 1965. Autor jest znany, zarówno organizatorom wystawy, jak i jej bohaterom. Zgodnie jednak z sugestią Jerzego Giedroycia, nie ma na wystawie nazwisk autorów cytowanych pomówień i oskarżeń. Bo i po co? Do dobrego przyniosłaby ta wylizanka?

stawie zarządzenia — z roku 1950 i inne, z roku 1968 — o pozbawieniu „Kultury” i wydawnictwa Instytutu Literackiego debitu na terenie Polski. Są kopie sądowych dokumentów ze spraw, gdzie jedną z oskarżonych była „Kultura” — na równi z ludźmi, którzy ją do kraju przywozili i do niej pisywali. Wciąż jeszcze niezwykłą literaturą jest „Wyrok w sprawie Macieja Kozłowskiego i in-

Wystawa się rozrasta

Wszystko na tej wystawie układa się w całość i ma swoje znaczenie. Wspomniany przez Stefana Kisielewskiego „kolega z konserwatorium” czyli Witold Małcużyński daje w 1947 roku koncert na rzecz „Kultury”, a sprzedawane na tym koncercie portretyki pianisty rysowane przez — oczywiście! — Józefa Czapskiego mają powiększyć kwotę, która pomoże wydać kolejny numer miesięcznika. Na otwarciu wystawy był tylko egzemplarz pisma z adnotacją o fundatorze. Dowiedziano się o tym w Maisons-Laffitte i szybko przysłano ów portretek z historycznego dla pisma koncertu.

Wystawa w ogóle jest żywa i stale się rozrasta. Już wypożyczył swoją korespondencję z „Kulturą” znany krytyk Zbigniew Florczak — pisywał jako Pelikan — i w ten sposób będzie na wystawie dokument z rzymskich jeszcze początków Instytutu Literackiego. Wyblakłym zielonym atramentem pisany jest list Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z propozycją autorskiej współpracy. Jest też zabawne zdjęcie jednego z „taterników”, Andrzeja Mroza, kiedy na szczycie Rysów ogląda swój wyjęty z plecaka książkowy towar. Wypożyczył również część swojej korespondencji z Jerzym Giedroyciem wieloletni autor „Kultury”, Czesław Bielecki — architekt, grafik, publicysta oraz wydawca — twórca dobrze znanej w podziemiu oficyny CDN. Bardziej w pewnym okresie znany jako Maciej Poleski jest, bodaj czy nie jedynym w swoim pokoleniu (rocznik 1948), autorem krajowym tak stabilnie związanym z „Kulturą”, w której zadebiutował w 1979 roku artykułem „Wolność w obozie”. Jak się w owym czasie tam debiutowało? Poproszony o wypowiedź tak dziś wspomina: — Wysłałem z Monachium parę tekstów, zresztą architektonicznych, do Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i napisa-

łem, że chciałbym z nim porozmawiać o Polsce. On w odpowiedzi zaproponował od razu spotkanie. Przedstawiłem swój punkt widzenia na Polskę, z tą rachityczną jeszcze opozycją. Przedstawiłem pewną wizję, a redaktor powiedział: niech pan to opisz. Kiedy zaś opisałem, z tym właściwym sobie zmysłem stwierdził, że będą z tego dwa artykuły. Wiosną 1979 wróciłem do kraju i zacząłem regularnie pisać. W „Kulturze” zostawiłem ślad, że jako jeden z nielicznych — w 1980 roku w artykule „Umowa i zmowa społeczna” — rozważałem możliwość wprowadzenia stanu wojennego. Było dla mnie bardzo budujące, że dobrze mnie ocenił Stefan Kisielewski. Zbliżyły nas pewnie zamilowanie do konkretności i podobna wrażliwość na rzeczywistość.

Nie znali się jeszcze wtedy osobiście. Przecież pretekstem do tej znajomości nie mogła być wspólna obecność na łamach pisma. Bo niby jak by się miał przedstawić? Nie mógł przecież zadzwonić i powiedzieć: mówi Maciej Poleski.

— To jest przykład na nieprzemakalność informacji w „Kulturze” — mówi Czesław Bielecki. Nieprzemakalność, która była podstawą współpracy z krajem. Zawsze chodziło o to, aby minimalizować ryzyko. Jeśli coś wychodziło na wierzch, to tylko dlatego że ktoś za mocno chlapał językiem. Ja siedziałem w jednej celi z Onyszkiewiczem i on też nie wiedział, kim jest Maciej Poleski.

Ale to są miłe ciekawostki. Sednem zaś jest co innego i o tym napisał Poleski-Bielecki, krótko a pięknie, w katalogu wystawy: „Krań »Kultury« jest moją rodziną polityczną. W Maisons-Laffitte oddychało się zawsze inną Polską”.

Uczyć poprzez słowo

Ta „inna Polska” idzie z Jerzym Giedroyciem przez dziesięciolecia. Przygotowuje do tej „innej Polski” coraz to nowe pokolenia. Działa spraw-

„Giedroyc jeszcze przed wojną poszedł własną drogą. [...] Można było jeszcze zrozumieć branie pieniędzy z polskich kas, trudno natomiast wybaczyć branie ich z wrogiej nam kieszeni. Na redagowanie paryskiej „Kultury”, podlegającej przeciw wszystkiemu, co usiłujemy budować, naprawiać, organizować, utrzymywać w Polsce Ludowej.”

(Wyd. Poznańskie, 1985)

Książę z Maisons Laffitte et consortes.
„Instytut Literacki oprócz miesięcznika „Kultura” prowadzi działalność edytorską, publikując serię wydań literatury paszkwilanckiej, antykomunistycznej i antyradzieckiej. W ostatnich zaś latach aktywizuje się szczególnie w publikowaniu pozycji antypolskich, opluwających nie tylko obecną rzeczywistość polską, ale zniekształcających historię lat walki narodu polskiego z faszyzmem.”

(„Prawo i Życie”, 1970)

„Ludzie z „Kultury” są po prostu garstką sprytnych facetów, dla których wszystko co polskie stało się już w gruncie rzeczy zupełnie obce”

(„Życie Warszawy”, 1965)

Pisano o „Kulturze”...

dzonymi metodami: poprzez słowo. Już za czasów „Polityki” kształtował czytelników Biblioteką „Polityki”, w której do roku 1939 wydał siedem pozycji. W tym Adolfa Bocheńskiego „Między Niemcami a Rosją” czy Stanisława Swianiewicza „Polityka gospodarcza

Niemiec hitlerowskich”. Za czasów „Orla Białego”, choć w nieporównanie trudniejszych wojennych warunkach, wydał kilkadziesiąt książek — dla kształtowania myśli i ducha. Wspaniała Biblioteka „Kultury” — którą w całości, z najpierwszymi wydaniami i z wy-

daniem przygotowanymi specjalnie do przewiezienia do kraju można obejrzeć na tej wystawie — jest tamtych dwóch tytułów kontynuatką.

Są wreszcie na tej wystawie, rodowody i życiowe drogi ludzi „Kultury”: naturalne świadectwo Jerzego Giedroycia, własnoręcznie pisany życiorys Marii Czapskiej, uniwersyteckie dokumenty, fotografia ze szkolnej wycieczki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. I zdjęcia oraz dokumenty z lat wojny, z Coetquidan i z Buzułuku. I wreszcie zdjęcia z Maisons-Laffitte, tak pełne panującej tam atmosfery, że coś z niej przenika chyba do wystawowych sal...

Zamiarem autorów wystawy było pokazać jak ściśle były związane „Kultura” z krajem i ten zamiar w pełni został zrealizowany: idziemy od dokumentów z „procesu taterników”, przez lata współpracy wydawniczej Instytutu Literackiego z NOW-ą, aż po dokumenty kończące wystawę. Są to list Niezależnego Forum Kultury do Jerzego Giedroycia z datą 1 kwietnia 1989 oraz uchwała Senatu UJ o nadaniu Jerzemu Giedroyciowi tytułu doktora honoris causa. Prawdziwy jednak *finis*, który wieńczy dzieło wystawy, tworzy co innego. Otóż wystawę udostępniono 12 września, w całkowicie nowej dla świata sytuacji politycznej, co tak skomentował, obecny na otwarciu Leopold Unger:

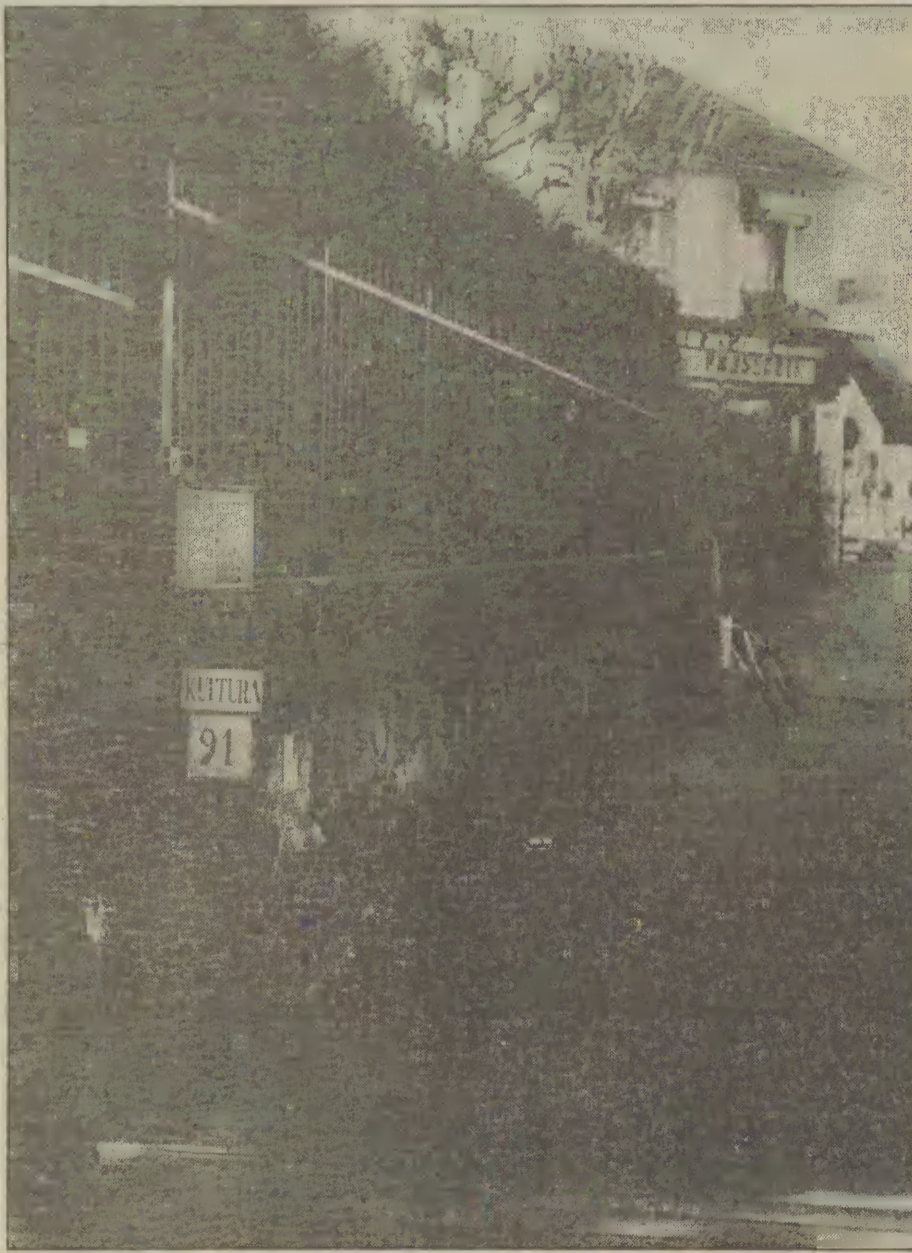
„Nie wiem, co dziś, w tej chwili, myśli o tym wszystkim Jerzy Giedroyc (...), w końcu tylko on chyba wierzył, że dożyje zwycięstwa — no, albo prawie zwycięstwa — swych idei”.

Barbara
Sułek-Kowalska

Fragment wnętrza Maisons-Laffitte.
Rysunek Józefa Czapskiego



„Ośrodek walki z socjalizmem w Polsce” mieści się za tym płotem



Lwy w Bremie

OPERACJA „JUMELAGE”

Gdy w pięknej sali recepcyjnej ratusza w Bremie prezydent klubu „Lions — Bremer Schweiz” wspominał o wspólnych, XV-wiecznych wyprawach połowowych gdańszczan i bremeńczyków gdzieś do wybrzeży Islandii — zrozumieliśmy, jak długą już historię mają kontakty obu hanzeatyckich miast. Jako członkowie klubu „Lions — Neptun Gdańsk” zjawiliśmy się w Bremie w 34-osobowej grupie na „jumelage”. Ten francuski termin oznacza uroczyste, zaplanowane spotkanie dwóch partnerów, by coś wspólnie uczynić, a dokonane dzieło przypieczętować...

W bagażach mamy jeno niehandlowe upominki, a wśród nich główny prezent, obraz pędzla gdańskiej malarki Bernadetty Orawiec, żony jednego z „lwów”. Właśnie zaczyna się weekend, lecz przejście graniczne w Kołbaszkowie forsujemy niemal z marszu, bez kontroli. Do Bremy docieramy krótko przed północą. Nasi gospodarze czekają w komplecie. Perli się powitalny szampa, następnie zabierają nas do domów. W doborze kwatery kierowano się znajomością języków u gości, choć prezydenta Alojzego Tomaszewskiego z małżonką odebrał — jak przystało — prezydent „Bremer Schweiz”, profesor Jobst hr. von Harsdorf, artysta malarz.

„Ucho igielne” przypomina...

Mówiąc o współpracy między narodami, myśli się najczęściej o tej aktywności, która dotyczy gospodarki, nauki czy techniki. Jakby w cieniu pozostaje sfera duchowa, na której przecież buduje się mocno i trwale. O tym pomyśleli gospodarze i program niedzielny zaczęliśmy ekumenicznym nabożeństwem w wiejskim kościele luterańskim św. Jana w Schwanewede. Prowadzić je będą dwaj kapłani, literański pastor i katolicki ksiądz.

Jest właśnie święto Dziękczynienia, więc ołtarz zdobią kosze warzyw i owoców. W Ewangelii według św. Łukasza, czytanej w obujęzykach, zawiera się przestroga przed chciwością i ten wątek rozwija pastor Karl Greving w homilii, a przykłady są osadzone mocno w realiach konsumpcyjnego społeczeństwa. Ktoś, kto zaprogramował swoje bogactwo, kto na mnożenie dóbr poświęca

cały trud — zapomina, iż może być nagle wezwany przed oblicze Pana... W niemieckiej sytości młodzi stawiają sobie głównie materialne cele — mieszkanie, dobry samochód. Później jest to własny, superkomfortowy dom w ekologicznie czystej zieleni, dwa auta, basen i obowiązkowo drugie mieszkanie na Majorce. Tak mija życie, w którym

nasza rodaczka z Bremy, ze znakomitą znajomością obu języków, umożliwiła pełniejsze przeżycie spotkania.

Przeciw nietolerancji

Zdaniem wielu, niemieckiej sytości zagrażają cudzoziemcy, zwłaszcza azylandzi. Nasi gospodarze z wstydem od-



Adam Czopek i Wolfgang Wagner przygotowują spotkanie w Blomendal

Fot. Mieczysław Sokółowski

brak już miejsca na ciepło rodzinne, właściwe wychowywanie dzieci i pomoc potrzebującym. Choć model taki jest w polskiej rzeczywistości bardzo „odległy” — te przypomnienia praw uniwersalnych trafiają nam do przekonania.

Bardzo młodzi wykonawcy, chłopcy i dziewczęta, zaśpiewali po polsku pieśń kościelną z refrenem „Jestem z wami po wszystkie dni aż do końca świata”, a

bierają mnożące się akty napaści na tych, którzy w Niemczech szukają schronienia — i co tu ukrywać — polepszenia bytu.

Podczas zwiedzania obu ratuszów — średniowiecznego i modernistycznego — zaskakuje nas, wielotysięczna na oko, demonstracja w zabytkowym centrum, zwołana na znak protestu przeciw tym atakom. Rosa Garcia z „De Colo-

res”, międzynarodowego ugrupowania kobiet, w bojowym wystąpieniu, gęsto oklaskiwanym, zarzuciła Niemcom generalnie rasistowskie tendencje i tolerowanie rasistowskich struktur, czemu nie zapobieże się tylko manifestowaniem. Wychowanie antyrasistowskie — usłyszeliśmy na wiecu — winno zaczynać się już w przedszkolu, by być systematycznie kontynuowane aż do końca szkolnej edukacji. Ofiary wśród napastowanych, także śmiertelne, zobowiązują! Kolejny mówca, lider Niemieckiego Związku Zawodowców w Bremie, Siegfried Schmidt, dramatycznie pytał: — A gdzie się podziały sztaby kryzysowe w poszczególnych landach i miastach, w gminach, które winny koordynować przeciwdziałanie? — Jego stwierdzenie, że każdy atak na cudzoziemców jest jednocześnie uderzeniem w państwo prawa, spotkało się z głośnym aplauzem. — Mam wśród Niemców wiele kontaktów — zalił się z trybuny student z Iranu, przyszyły elektronik Farhad — lecz w ostatnich dniach zastanawiałem się, czy któryś ze znajomych nie stoi po przeciwnej stronie barykady?

Powrót do natury

Niedzielne popołudnie nasi gospodarze przeznaczali na wyjazd do wsi Fischerhunde na wschód od Bremy. Nizina, melancholijna okolica podobna do naszych Żuław. Była to uboga część Dolnej Saksonii, moczary i torfowiska, miejsce osiedleń byłych skazańców. Znaleźli się tam jednak dobrowolni osadnicy. Pod koniec ubiegłego wieku, poeta Rainer Maria Rilke wraz z parą małżeńską Otto Modersohnem i Paulą Becker na znak sprzeciwu wobec postępującej gwałtownie industrializacji, osiedlili się najpierw w Worpssede, a potem w Fischerhude, dając początek znanej „kolonii malarskiej”. W grupie tej znaleźli się też Fritz Mackensen, Hans am Ende, Heinrich Vogeler — w historii sztuki liczące się nazwiska. Oglądamy pustą o tej porze galerię, z ciekawością słuchając fachowych objaśnień prezydenta Jobsta. Na płótnach utrwalono typowe krajobrazy tej okolicy w manierze realistycznej, w technice olejnej. Pionowe i poziome podziały płócien z wyraźnym zaznaczeniem horyzontu, uwiecznianie fragmentów, jak grupa drzew, które uszłyby uwagi laika, uznawane są za cechę tej szkoły.

Uzupełnieniem duchowych przeżyć były dwie inne imprezy — taneczna i poezjalna. Podejmowano nas w pięknie odrestaurowanym, starym majątku ziemskim Blomendal. Służy on dzisiaj miastu Bremie do organizowania oficjalnych spotkań i przyjęć. Niemcy przy okazji takich spotkań zaskakują niekiedy odmiennieścią obyczaju. I tak rozpoczęliśmy wieczór od przekazania sobie płomienia zapalonych świec, symbolizując w ten sposób ciepło i zbliżenie. Prezydenci obu klubów — Jobst i nasz Alek, odziani w kolorowe peleryny, stanęli w szrankach do współzawodnictwa w picu ognistego trunku cynową łyżką... Było to połączone ze średnio-wiecznym dialogiem w narzeczu platt, z tłumaczeniem na język polski.

Z naszej strony zaprezentowaliśmy „dzieweczki idące do lasczków”, „bandę Cyganów pod lasem”, „szybko mijające chwile”, a klubowy mistrz ceremonii — Adam Czopek, włączając gospodarzy do wspólnego śpiewu. Zgola niewinne słowa „bum stradi radi” kojarzą się jednak Niemcom zgola pornograficznie, lecz liryzm naszej interpretacji przekonał ich jednak bez trudu do czystości intencji. Byli też przeświadczeni, że chór ćwiczył przez co najmniej sześć tygodni, choć tak w rzeczywistości była to całkowita improwizacja.

Rozmowy przy stołach

Uczestnictwo w międzynarodowym ruchu Lions, skupiającym dziś na świecie ok. 1,7 mln członków, łączy się z aktywnością na dwóch różnych płaszczyznach. Pierwsza z nich to realizacja wspólnej zasady „we serve” — służymy. Bremeńczycy pomagają głodującym dzieciom w Afryce. Program LC „Neptun” obejmuje pomoc dla polskich dzieci z porażeniem mózgowym, wsparcie dla ofiar więzień stalinowskich i Sybiraków oraz wspomaganie budowy w Przegalinie schroniska dla bezdomnych. Fundusze na te cele trzeba wypracować własnym wysiłkiem i pomysłowością. Członkowie „Bremer Schweiz” rozprawdzają np. małe, drewniane pudełka z herbatą, kupowaną u hurtownika po niższej cenie. Każdy „lew” musi znaleźć grupę nabywców i tak rosnąć konto. Natomiast gdańszczanie pozyskują środki m.in. prowadząc stoisko podczas jarmarku św. Dominika. Wkrótce też, 8 listopada, w Filhar-

UTRACONY RAJ TATARÓW

Przed wyjazdem do Turcji słyszałam o emigracyjnym rządzie Tatarów Krymskich. Gdy na miejscu próbowałam się z nim skontaktować, okazało się, że ten rząd właściwie nie istnieje, chociaż Tatarów Krymskich na terenie Turcji mieszka około pięciu milionów.

Kutluk wygląda prawie jak Turek, ale w rysach twarzy ma coś odmiennego. Na co dzień Kutluk mieszka w Stambule. Jest asystentem na tamtejszym uniwersytecie. W wolnych chwilach śpiewa i tańczy w studenckim zespole ludowym, odtwarzającym muzykę i tańce z różnych krajów: Tadżykistanu, Uzbekistanu, Kazachstanu i Krymu. Poza tym jest prezesem młodzieżowego koła Krymskich Tatarów. To dzięki Kutlukowi, zamiast zwiedzać piękny, stary Stambuł lub zająć się handlem, odwiedziłam kilka domów i instytucji, gdzie mieszkają i pracują Tatarzy, których rodzice, dziadowie lub pradziadowie uciekali przed dyktatorską władzą Rosji.

O Tatarach Krymskich mówi się, że są rasy turecko-mongolskiej. Przez wieki zamieszkiwali Krym. Mieli swój język, tradycje. Religijnie związali się z islamem. Naukowcy i podróżnicy opisywali ich jako ludzi przypominających Europejczyków: wysokich, o ciemnych włosach, porządnym, usłużnym, gościnnym i przykładowo wstrzeźliwym, mimo że sami byli wielkimi producentami win. Ich ojczyznę — piękną, ciepłą, dostatną i szczęśliwą — porównywano z ziemskim rajem. Ludziom żyło się tam dobrze, aż do momentu, gdy Krym stał się rejonem interesującym dla imperium rosyjskiego.

Wypierani z ojczyzny

Pierwszą próbę zbrojnego owdarcia Krymem przez armię moskiewską historycy zarejestrowali w roku 1677. Nie udało się. Ponad pół wieku później Rosjanie zaczęli już systematycznie niszczyć ziemię i mordować ludzi. Najeżdżali, palili, burzyli. Wszelkie tra-

ktaty i obietnice łamali, przekreślali na swoją korzyść. W 1783 Katarzyna II, samowładna caryca Wschodniej, wzięła Krym w posiadanie. Jeszcze w tym samym roku, z jej rozkazu, zaczęto burzyć meczety, dewastować urządzenia nawadniające pustynne tereny o żyznej, ale suchej glebie, całe kompleksy wodociągów i wodotrysków publicznych, którymi doprowadzano wodę do miast. Nic więc dziwnego, że Tatarzy zaczęli opuszczać swoje domy. Do 1790 roku z Krymu wyemigrowało 180 tys. osób. Wielką emigrację zarejestrowano w 1812 i w latach 1860—63, a potem trwała ona stale. Krym opustoszał. Jego mieszkańcy udawali się do krajów

śasiadnych, na Bałkany, do Turcji. Często emigrowali w bardzo ciężkich i niebezpiecznych warunkach: zimą, bez pieniędzy, przez Morze Czarne. Na obczyźnie starali się osiedlać całymi grupami, rodzinami; Tatarzy przywiązują wielką wagę do życia rodzinnego. W 1918 roku jeszcze raz próbowali odbudować swoje państwo. Zbrojnie przeciwstawili się inwazji bolszewickiej. Przegrali, więc musieli ponownie uciekać. Emigrantów z Krymu chętnie przyjmowały władze tureckie, jako że Turcy i Tatarzy tworzą jeden naród. Na Krymie do dzisiaj pozostało ok. miliona Tatarów. 20 stycznia br. odbyło się tam referendum, a od lutego istnieje autonomia.

Mapa Krymu w tęczającym oku



Fot. Maria Giedz

Na emigracji starali się zachować wspólnotę narodową. Inicjatorem scalenia Tatarów żyjących w Rumunii był minister z wolnego parlamentu krymskiego Müstedżib Ülküsal, dzisiaj 92-letni, emerytowany adwokat, mieszkający w Stambule. Jego pomysłem było również redagowanie i wydawanie czasopisma „Emel” („Scalenie”), które po raz pierwszy ukazało się 1 stycznia 1930 w Rumunii. W Turcji, dokąd wyemigrowało najwięcej Tatarów, dopiero w latach siedemdziesiątych naszego stulecia zrodziła się potrzeba utworzenia Związku Tatarów Krymskich. Skupia on zaledwie dwa tysiące osób i to głównie młodzi ludzie. Swoją działalność związek prowadzi w ośmiu ośrodkach.

Pragnienie powrotu

Przewodniczący związku, dr Hakan Kirimli, historyk z uniwersytetu w Ankarze twierdzi, że jest on organizacją reprezentującą emigrację tatarską, ale nie opozycję. Grupuje Tatarów mieszkających w USA, Niemczech, Australii, Bułgarii, Rumunii i Turcji. Tatarzy nie mają swojego emigracyjnego rządu. Mają natomiast swoje stowarzyszenia, związki, które zajmują się także polityką. One pomagają emigrantom w identyfikowaniu się, odnajdywaniu swojej tożsamości.

— Polityka jest trudna, więc nie zajmujemy się nią — mówi dr Kirimli. — Natomiast staramy się kontynuować nasze narodowe tradycje. Jest wśród nas niewielka grupa osób starszych, rozpolitykowanych, ale ich program jest naiwny. W Turcji nie jesteśmy mniejszością narodową, lecz grupą emigracyjną, którą się toleruje i akceptuje. Natomiast, jeśli mam mówić o celach politycznych, to owszem, stawiamy je, ale nie jest to żaden konkretny program. Chcemy po prostu w przyszłości zająć się rozwojem Krymu. Chcemy tam wrócić.

Lider oddziału związku w Stambule, Taner Kayan, młody adwokat dodaje, że Tatarzy poza kultywowaniem folkloru prowadzą intensywną edukację dzieci i młodzieży, ucząc ich języka i historii.

— Przestrzegamy wszystkich świąt narodowych i religijnych. Organizujemy spotkania, pikniki. Chcemy być razem, bo powrót na Krym jest bardzo realny. Tu w Turcji jest nam wszystko jedno, jaką mamy oficjalnie narodowość. Przecież tu się urodziliśmy, tu mieszkamy, więc jesteśmy obywatelami tureckimi. Poza tym należymy do grupy ludów tureckich. Identyfikujemy się z Turcją, aczkolwiek w domach czasami rozmawiamy po tatarsku.

Obecnie w Turcji istnieje osiem organizacji tatarskich, które nie tylko zajmują się utrzymaniem własnej tożsamości wśród emigrantów, ale również wspomagają materialnie Tatarów mieszkających nadal na Krymie. Wspierają ich moralnie, współpracują z nimi nad wizją przyszłego państwa. Kutluk, mimo że jest człowiekiem młodym, bardzo silnie związanym z turecką rzeczywistością, poważnie myśli o powrocie na Krym. Cała jego działalność jest przygotowaniem się do opuszczenia Turcji i włączenia się w organizowanie republiki na Krymie.

Szukali pomocy nawet w Berlinie

Ostatni żyjący do dzisiaj minister wolnego krymskiego parlamentu, Müstedżib Ülküsal, nadal aktywnie uczestniczy w kultywowaniu tradycji swojego narodu. — Historia Tatarów Krymskich — podkreśla — sięga tysiąca pięciuset lat. Okupacja rosyjska i radziecka trwała dwadzieścia lat. Na emigracji, tu w Turcji, Tatarzy nie utworzyli żadnej partii politycznej, która interesowałaby się polityką lokalną. Wśród naszego społeczeństwa jest wielu generałów, profesorów, ale nasza aktywność jest skierowana na Krym. Szukamy możliwości powrotu do naszego kraju, możliwości odbudowania go i stworzenia tam normalnego życia — również dla nas. Pierestrojka Gorbaczowa przywróciła nam nadzieję. Niektórzy, ci odważniejsi, zaczęli na Krym powracać. Niedawno przebywała tam delegacja Tatarów złożona z intelektualistów i

monii Bałtyckiej odbędzie się koncert pod patronatem premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego. Organizatorem tej prestiżowej imprezy, w której jako główny solista wystąpi Wiesław Ochman, jest LC „Neptun”. Także w tym przypadku datki, otrzymane od osób zaproszonych na koncert, zostaną przeznaczony na cele statutowe.

Ale członkowie klubu spotykają się również i po to, by pielęgnować i rozwijać zadzierzgnięte już przyjaźnie i znajomości. Jest to bardzo ważny aspekt przynależności do lwiej rodziny, bowiem działalność na zewnątrz musi iść w parze z budowaniem i zachowywaniem zasad wzajemnej życzliwości i pomocy. Według reguł obowiązujących w lionizmie każdy nowo powstający klub dołącza do już istniejących za przyczyną i merytoryczną pomocą klubu „chrzestnego”. Taką rolę pełnili wobec gdańszczyzan członkowie „Bremer Schweiz” i oni właśnie, razem z żonami, przybyli do Gdańska w 1990 r. na uroczystość Charter Night — formalnego „nadania karty” i wpisania nowego klubu do oficjalnego rejestru. Ten wyjazd był więc rewizytą i kontynuacją już nawiązanych kontaktów. Odpadły jednak „oficjalni” i dlatego charakter spotkania stał się luźny i swobodny.

Zetknęli się ludzie różnych zawodów, zainteresowań, często w różnym wieku. A jednak błyskawicznie odnajdywano wspólny język. W domach, przy kawie mówiliśmy zarówno o sensie i potrzebie naszej działalności jak i o sprawach rodzinnych, przywrotnych. Nie unikaliśmy bolesnych tematów z przeszłości. Oto dwaj starsi panowie odkryli, że chociaż walczyli we wrogich sobie formacjach, to jednak spotkali podobny los, ałagry, w których znaleźli się na „niełudzkiej ziemi” prawosładowały ze sobą. Emerytowany inżynier rolnik p. Schröder pasjonuje się historią Polską. Szczyci się tym, że opisał nasze dzieje, poczynając od XIII wieku.

W dyskusjach szukamy tego, co łączy, co pozwala lepiej zrozumieć i historię i codzienność. Kiedy zatem trzeba się pożegnać, najlepiej da się dostrzec, ile powstało w tym krótkim czasie autentycznych, szczerych przyjaźni.

**Grzegorz Kurkiewicz
Mieczysław Sokołowski**

biznesmenów. Zwiedzili Krym, przyglądali się spustoszeniu dokonany przez rabunkową gospodarkę sowiecką i oceniali możliwości naprawienia wszystkiego. Jeśli ktoś mnie pyta, czy Tatarzy o coś walczą, odpowiadam tak, ale jest to walka o powrót. Mam nadzieję, że uzyskamy wolność, jeśli nie całkowitą, to przynajmniej częściową. Wierzę, że Bóg nam w tym pomoże.

— Ojciec i ja urodziliśmy się w Rumunii — mówi dalej Ūlkusal. — Dziadek emigrował w 1862 roku do Cesarstwa Otomańskiego na terenie dzisiejszej Rumunii. Na uniwersytecie w Bukareszcie ukończyłem prawo i przez czterdzieści lat byłem profesorem w tej dyscyplinie. Od pięćdziesięciu lat mieszkam w Turcji. Wydałem pięć książek po turecku. Podczas II wojny światowej przebywałem dziewięć miesięcy w Berlinie wraz z innymi przedstawicielami z Rosji. Interesowała nas wspólna praca przeciwko okupacji sowieckiej, stworzenie jedności między narodami tureckimi. Z Hitlerem nie chcieliśmy mieć nic wspólnego, bo był dyktatorem. Nasze rozmowy z Niemcami opisałem szczegółowo w opublikowanej książce.

Po przeniesieniu się do Turcji przez dwadzieścia lat nie wolno mu było wydawać czasopisma „Emel”. Dopiero, gdy w Turcji nostryfikował dyplom prawniczy i udowodnił, że czasopismo to nie jest organem żadnej partii opozycyjnej, pozwolono wznowić jego edycję.

— Zaraz po roku 1917, po rewolucji październikowej — kończy — pojechałem na Krym, aby stworzyć wolny parlament. Przebywałem tam dwa lata. Z powodu bolszewików musiałem powrócić do Rumunii.

Müstedzib Ūlkusal w 1936 roku wraz z grupą Tatarów z Rumunii i Turcji odwiedził Polskę. Był w Warszawie. Uczestniczył w konferencji poświęconej Tatarom Krymskim, których na ówczesnych terenach Rzeczypospolitej mieszkało około sześciu tysięcy, ale ich dzieje to już całkiem inna historia.

Maria Giedz

Z czym do integracji?

RÓWNANIE Z WIADOMYMI

Uzyskanie przez Polskę statusu kraju stowarzyszonego z EWG rozpocznie okres przystosowawczy do przyjęcia nas w poczet pełnoprawnych członków wspólnoty. Okres ten trwać będzie prawdopodobnie około dziesięciu lat. W tym czasie powinniśmy zaadaptować naszą gospodarkę, w tym również rolnictwo, do wymogów Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Biorąc pod uwagę fakt, iż zmiany w tym dziale produkcji wymagają na ogół wielu lat, dziesięć lat nie jest w tym przypadku okresem długim.

Bilans otwarcia

Polska po przystąpieniu do EWG zajmowałaby, pod względem obszaru, czwartą pozycję — po Francji, Hiszpanii oraz RFN. Rolnicze wykorzystanie ziemi w Polsce jest w porównaniu z państwami wspólnoty, z wyjątkiem Danii, znacznie wyższe (wyższy mamy udział gruntów ornych w ogólnej powierzchni użytków rolnych). Natomiast mniej mamy, w porównaniu z państwami EWG, tzw. użytków zielonych, czyli łąk i pastwisk. Struktura użytkowania ziemi zbliżona jest do struktury w Hiszpanii i we Włoszech i nieco korzystniejsza aniżeli w Grecji i Portugalii. W pozostałych państwach wspólnoty stopień koncentracji ziemi jest wyższy niż w Polsce.

Tym jednak, co zasadniczo różni nasz kraj od przyszłych partnerów, jest znacznie wyższy procent ludności zawodowo czynnej w rolnictwie. W 1988 roku w polskim rolnictwie i leśnictwie zatrudnionych było 27,8 proc. ludności kraju czynnej zawodowo, podczas gdy wskaźnik ten w krajach EWG wynosił: w Danii 5,7 proc., we Francji 6,7, w Grecji 26,5, w Hiszpanii 14,5, w Holandii 4,5, w RFN 4,9, w Wielkiej Brytanii 2,1 i we Włoszech 9,1 proc. Niski jest też, w porównaniu z przodującymi państwami wspólnoty poziom kwalifikacji zawodowych polskich rolników.

Pod względem wyposażenia gospodarstw rolnych w ciągniki i kombajny Polska zajmuje środkowe miejsce wśród państw wspólnoty. O wiele mniej korzystna jest jednak sytuacja w wyposażeniu ciągników w sprzęt towarzyszący oraz w zakresie zmechanizowania produkcji zwierzęcej.

Wielkością pogłowia zwierząt (trzody chlewnej i bydła) Polska ustępuje tylko nielicznym krajom (tj. RFN i Francji), choć niska jest u nas tzw. obsada trzody chlewnej i bydła w przeliczeniu na 100 ha użytków rolnych. Świadczy to o rozproszonej hodowli zwierząt w polskich gospodarstwach rolnych, co wiąże się z rozdrobnioną strukturą agrarną rolnictwa. Struktura ta w ciągu z górą czterech dekad zmieniła się tylko w bardzo niewielkim stopniu i określenie archaiczna pasuje do niej jak ulał.

Mimo to polskie rolnictwo posiada stosunkowo duży potencjał produkcyjny. Świadczyć o tym może bezwzględna wielkość produkcji zbóż, ziemniaków, buraków cukrowych, mięsa i mleka. Pod względem produkcji zbóż kraj nasz ustępuje jedynie Francji, zaś w produkcji buraków cukrowych tylko Francji i RFN. Natomiast ziemniaków produkuje się w Polsce niemal tyle, ile w całej wspólnotce.



Rys. Dariusz Pietrzak

Tab. 1
Plony ważniejszych płodów rolnych w EWG i w Polsce w 1988 r. (w q z 1 ha)

Kraje	Zboża		Ziemniaki	Buraki cukrowe
	Ogółem	w tym pszenica		
Belgia	63,3	66,4	390,0	558,8
Dania	50,4	67,3	375,8	499,0
Francja	60,4	61,5	346,0	662,5
Grecja		24,7	204,9	579,7
Hiszpania	30,2	27,9	163,5	477,1
Holandia	61,8	72,3	419,7	546,1
Irlandia	63,4	78,6	247,1	400,6
Luksemburg	38,6	41,0	290,0	260,0
Portugalia	14,1	13,4	64,2	
RFN	57,3	68,4	372,9	490,8
Wlk. Brytania	54,2	62,3	380,7	422,9
Włochy	37,3	27,5	184,1	486,8
EWG (12)	47,0	48,4	280,6	529,4
Polska*	32,2	38,5	185,0	341,0

*1989 r.

Tab. 2
Wydajność podstawowych czynników wytwórczych w rolnictwie Polski i wybranych państw EWG

Kraje	Wydajność ogółu czynników wytwórczych 1983-1985 Polska = 100	Wydajność pracy 1983-1985		Wydajność ziemi 1983-1985	
		tys. dol. na osobę	Polska = 100	dol. na ha uż. rol.	Polska = 100
Dania	310	28,6	890	1550	220
RFN	230	14,3	480	1660	237
Holandia	475	36,2	1200	4480	640
Belgia	365	34,2	1150	2410	345
Wlk. Brytania	250	22,5	750	750	106
Francja	245	18,3	610	970	140
Włochy	220	8,8	290	1240	177
Hiszpania	185	7,5	250	520	74
Grecja	160	4,8	160	530	75
Polska	100	3,0	100	700	100

Dystans efektywności

Znacznie gorzej, w porównaniu do innych krajów, wyglądamy pod względem plonów roślin uprawnych (tabela 1). Szczególnie duży dystans dzieli Polskę od Belgii, Danii, Francji, Holandii i RFN. Warto zauważyć, iż będąc światową potęgą w produkcji ziemniaków nie uzyskujemy nawet połowy plonów z hektara, jakie uzyskiwane są w Belgii, Danii, Holandii czy RFN. Także plony pszenicy są w przodujących krajach EWG niemal dwukrotnie wyższe aniżeli w Polsce.

Kiepsko wygląda wydajność pracy naszych rolników (por. tabela 2). Jedna osoba zatrudniona w polskim rolnictwie wytwarza bowiem rocznie rolniczą produkcję końcową netto za około 3 tys. dolarów, zaś przeciętny rolnik w EWG za 8,3 tys. dolarów, czyli 2,8 razy więcej. Różnica ta jest jednak znacznie większa w stosunku do przodujących w rolnictwie państw. I tak rolnik holenderski produkuje 12 razy więcej aniżeli rolnik polski; farmerzy w USA i Australii wytwarzają 13—14 razy więcej od polskiego chłopca.

Relatywnie niska wydajność pracy naszego rolnika jest w dużej mierze skutkiem znacznie słabszego w stosunku do państw wspólnoty wyposażenia w środki techniczne. Jest ono bowiem w Polsce 2,2 razy niższe aniżeli średnio w krajach EWG, a także około 6 razy niższe aniżeli w krajach wspólnoty o najwyższej wydajności. Gorzej niż inni wykorzystujemy w Polsce ziemię. Łączne bowiem plony podstawowych ziemiopłodów są u nas blisko 25 proc. niższe od przeciętnych plonów w EWG i aż o 85—119 proc. niższe aniżeli w Danii, Belgii i Holandii.

W konsekwencji wydajność ogółu podstawowych czynników wytwórczych, tj. pracy, ziemi i wybranych nakładów kapitałowych, mierzona produkcją końcową netto, jest w rolnictwie polskim około 1,8 razy niższa aniżeli przeciętnie w państwach EWG i aż o 3—5 razy niższa od osiągniętej w krajach rolniczej czołówki (Dania, Belgia, Holandia).

Oznacza to, iż polscy rolnicy ponoszą dużo wyższe nakłady na jednostkę wytworzonego produktu niż to ma miejsce powszechnie we wspólnotce.

To właśnie decyduje o znacznie mniejszej konkurencyjności polskiego rolnictwa wobec krajów zachodnich.

Presja czasu

W tej sytuacji nie wydaje się możliwe, uwzględniając powolność procesów zachodzących w rolnictwie, aby w okresie najbliższych dziesięciu lat, jakie zakłada się na okres przystosowania naszej gospodarki do wymogów EWG, opóźnienie to można było zlikwidować. Zbyt duży dystans dzieli polskie rolnictwo od rolnictwa wspólnoty, by można było względnie szybko go przeskoczyć. W związku z tym istnieje pilna potrzeba opracowania kompleksowego programu działań wzmacniających pozycję naszego rolnictwa w stosunku do rolnictwa państw EWG. Działania te winny mieć na celu przede wszystkim: wzrost kwalifikacji zatrudnionych w rolnictwie, obniżkę kosztów produkcji, poprawę struktury agrarnej, rozwój produkcji zdrowej żywności oraz rozwój infrastruktury wiejskiej.

Należy mieć świadomość tego, iż niepodjęcie w najbliższym czasie tych przedsięwzięć może bądź opóźnić o lata przyjęcie Polski do EWG, bądź też w przypadku przyjęcia do wspólnoty — grozić załamaniem naszego rolnictwa.

Jak poważny jest to problem, mogą świadczyć trudności byłej NRD, której gospodarka bez odpowiedniego przygotowania została włączona w system wspólnoty. Trzeba jednocześnie pamiętać, iż kraj ten znajduje się w znacznie lepszej sytuacji od Polski. Może on bowiem liczyć nie tylko na pomoc w formie olbrzymich kapitałów z całej RFN, ale także na przyjazd tysięcy doświadczonych w grze rynkowej menedżerów, sprawnych urzędników i bankowców.

**Dorota Czykier-Wierzba
Ryszard Wierzba**

Było kandydatów wielu

Spędziłam przed telewizorem ponad czterdzieści godzin i — jak sądzę — należę do najwierniejszych obserwatorów Studia Wyborczego. Z powodu słów starałam się wynotować najbardziej typowe wypowiedzi, najczęściej powtarzane hasła i deklaracje, najmocniejsze epitety (tych było najwięcej) i najzabawniejsze scenki rodzajowe.

W studiu telewizyjnym prezentowało się trzydzieści partii. Niektórych w ogóle nie da się rozróżnić, a ich nazwy niczego wyborcom nie mówią. Obroną ręką wyszły te, które mają popularnych liderów, bo specyfiką tej kampanii jest lansowanie nie programów, lecz osobowości (dobrych czy złych, ale prawdziwych). Drugą jej cechą jest śmiertelna powaga i nadętość (często trącające kiczem), które podkreślać mają rangę wydarzenia oraz znaczenie startujących do parlamentu ugrupowań. Im mniejsze — tym dostojniej się prezentuje. Oglądanie studia zakończyłam w niedzielę, 20 października, a więc przed eskalacją demagogii i obietnic bez pokrycia. Narastanie ich w miarę zbliżania się wyborów było aż nadto widoczne.

Coś na kształt programu

Żadna partia nie zaprezentowała programu jasnego i realistycznego, to znaczy nie wyjaśniła, jak zamierza zrealizować głoszone przez siebie hasła, skąd weźmie na to pieniądze i jakie będą społeczne tego skutki. Dominowały poboczne życzenia i wysoki poziom uogólnienia.

Unia Demokratyczna: Zagwarantujemy poczucie bezpieczeństwa. Nasz program to kontynuacja reform.

Kongres Liberalno-Demokratyczny: Nie obiecujemy gruszek na wierzbie. Chcemy demokracji parlamentarnej i gospodarki rynkowej. Proponujemy twórcze zaprzeczenie komunizmu.

Porozumienie Obywatelskie Centrum: Chcemy przelamać zwątpienie i apatię Polaków, przekonać ich, że Polska może być krajem demokratycznym i dostatnym. Chcemy walczyć o bezpieczeństwo porządnym ludzi, a nie tych, którzy kradną, biją, zabijają. Jesteśmy za dekomunizacją...

Blok Ludowo-Chrześcijański: Nasz program, to tanie kredyty, bariery celne, obrona gospodarstw rodzinnych i chłopów-robotników.

Unia Polityki Realnej: Chcemy silnej armii zawodowej, sprawnej policji, prostego systemu podatkowego, stworzenia funduszu emerytalnego. Naszym celem jest wolność jednostki.

KPN: Przerwać bieg koła recesji, w którą wpędził nas Balcerowicz. Najlepszym sposobem jest prywatyzacja.

Wyborcza Akcja Katolicka: Gospodarka rynkowa z elementami gospodarki państwowej oraz silne państwo oparte na trwałych wartościach chrześcijańskich, czyli Dekalogu. A poza tym rozliczymy system i ludzi tego systemu...

Zieloni: Przemysł podporządkować ekologii. Przerwać budowę tamy w Czorsztynie. Rozwijać medycynę niekonwencjonalną.

Chrześcijańska Demokracja: Będziemy dążyć do zamiany polityki recesji w politykę koniunktury. Związać Szczecin z portem. Podlasiacy! Ziemia Kraszewskiego i Niemcewicza musi ożyć, bądźmy trzeźwi. Wiara, która jest w nas z ufnością pozwala patrzeć w przyszłość.

PSL: Ustawą rolną w Sejmie załatwimy wszystko dla siebie. Polska powinna być krajem, który stawia na własną żywność. Chcemy takiej polityki gospodarczej, która umożliwi rolnictwu pełny rozwój. Postawienie na nasz program, to jest postawienie na wspaniałą inwestycję.

Solidarność Pracy: Jesteśmy przeciw reformie przez ruinę.

Z masy ogólników i frazesów powtarzanych przez większość partii trudno wyłowić cechy charakterystyczne. Prawie wszystkie wiedzą, kto jest winien obecnej sytuacji na ogół uważanej za tragiczną i krytyczną; nieliczne — jak tę sytuację poprawić. Co drugi kandydat na posła jednym tchem obiecuje tanie kredyty, dofinansowanie wsi i przedsiębiorstw państwowych, wzrost nakładów na zdrowie, oświatę i emerytury...

Jeśli nas wybierecie, to...

Telewizja zastrzegła, że nie odpowiada za treści prezentowane przez komitety wyborcze. Jeszcze mniej odpowiadają za nie kandydaci na posłów i senatorów: możemy obiecać wam wszystko, nic nas to nie kosztuje i nikt nas z tych deklaracji nie rozliczy ani z parlamentu nie usunie. Nie ma sprawy, której byśmy nie załatwili, problemu, którego byśmy nie rozwiązali... przed kamerami Studia Wyborczego.

Unia Polityki Realnej: Potrzebujemy trzech miesięcy na wprowadzenie całej reformy i obniżenie podatków. Zlikwidujemy bezdurne przepisy i zarządzenia. Zatrzymamy proces niszczenia samorządów lokalnych.

Stronnictwo Demokratyczne: Wiemy jak należy wyjść z tego impasu, jak prowadzić politykę kredytową, jak uratować wieś.

Zdrowa Polska: Możemy krzyczeć i będziemy to robić. Jeśli chociaż ja (P. Solski — przyp. I.G.) znajdę się w Sejmie, to gwarantuję, że telewizja nie będzie wyglądała jak Europa po dżumie i stanie się obywatelska.

Porozumienie Obywatelskie Centrum: Będziemy zmierzać do poważnych zmian ustrojowych. W budownictwie będzie lepiej. Mamy pomysł na odzyskanie bilionów straconych w wyniku różnych afer.

KPN: Należy konsekwentnie podnosić zarobki tak, aby w ciągu 2-3 lat osiągnęły one 50 proc. zarobków zachodnich. To obiecujemy. Proponuje-

my też 20-procentowe zmniejszenie wydatków na wszystkie organa władzy państwowej. Będziemy w stanie w krótkim czasie pozatykać wszystkie dziury w beczce zwanej Polską.

PSL: Mamy swój gabinet cieni. Jesteśmy w stanie przyjąć odpowiedzialność za Polskę. Po 27 października rząd będzie ludowy.

Chrześcijańska Demokracja: Gwarantujemy rozwój, dobrobyt, opiekę nad najsłabszymi, sprawiedliwość społeczną. Będziemy dążyć do tego, aby rodzice z miłością przyjmowali swoje potomstwo.

Wyborcza Akcja Katolicka: Wychowamy nasze dzieci na dobrych Polaków i dobrych katolików.

Ruch Demokratyczno-Społeczny: Szybko będą mieszkania, świecka szkoła, ochrona życia przez skuteczną antykoncepcję.

Niestety, także kampania pozytywna prowadzona głównie przez Unię Demokratyczną i NSZZ „Solidarność” nie wylansowała nowych osobowości. Zabrakło pomysłu. Bo czy np. Olga Krzyżanowska, która oprowadza nas najpierw po „znajomych” grobach powstańców na Powązkach, a potem pod dachy, w której ma zbiór tabakierek i kołowrotek, przekonała kogoś, że to są atrybuty niezbędne do piastowania poselskiego urzędu? Nie dowiedzieliśmy się natomiast, co robiła (poza prowadzeniem obrad) w Sejmie, o jakie sprawy walczyła, co uważa za najważniejsze w nowej kadencji? Takich prezentacji było więcej.

Niewątpliwie największą osobowością tej kampanii okazał się Jan Krzysztof Bielecki, choć najradziej chyba po-

kilkaście stron mego notatnika. Czy warto je przytaczać? Każdy, kto chociaż kilka razy widział Studio Wyborcze — zna je na pamięć. Dostało się komunie i jej spadkobierczyni: SdRP, ale znacznie bardziej dostało się obu solidarnościowym rządów, oskarżanym o wyprzedzanie majątku narodowego, degradację cywilizacyjną państwa, arogancję, nadużycia, korupcję... długo można by wylizywać. O tym, jaki poziom osiągnęła kampania opluwania — niech zaświadcza trzy tylko wypowiedzi:

Jacek Soska (PSL): Pułki pancerne dali pod Mławę, wydali ostre naboje i tylko odmowa wykonania rozkazu uchroniła nas przed wielką tragedią (to o blokadzie przez chłopów szosy pod Mławą w 1989).

Partia Wolności (nazwiska mówcy z cepem nie zanotowałam): „Okragły stół” to pakt z diabłem, ugoda między złodziejami a bandytami (tu padają nazwiska). Zbudowano po nim Polskę totalnego złodziejstwa i kolaboracji z komunistami.

Włodzimierz Cimoszewicz (SLD) — spytany, co sądzi o postawieniu b. premiera Rakowskiego przed Trybunałem Zakrawa to na kpiny. Ci, którzy doprowadzili do tego, że tysiące zakładów pada, stawiają przed Trybunałem człowieka, który zamknął jedną stocznice. To jest zemsta polityczna, w sadystrycznym wymiarze... Obawiam się, że takich politycznych procesów czeka nas więcej. (A powiedziane to zostało w rocznicę zamordowania ks. Jerzego).

Telewizja nie odpowiada za treści, więc nie ingeruje. Kandydaci na posłów czuli się bezkarni i bezpieczni, bo liczą na immunitet? A niektórzy nie wiedzą, gdzie przebiega granica przyzwoitości i dobrego smaku.

Cep uświęca środki

Partie — niepewne siły swoich argumentów — przynosiły do studia przeróżne rekwiizyty i układały złote myśli. Było to zresztą swoiste urozmaicenie śmiertelnie nudnej kampanii. W miarę jej upływu — rosła też liczba clipów, w których najczęściej wykorzystywano motyw koni i dzieci. Konie były w galopie, a dzieci słodkie, szczęśliwe i mądre — zupełnie nie wyglądające na „ofiary” nędzy, ruiny i degradacji cywilizacyjnej.

Wśród rekwiizytów — najwięcej hałasu zrobił przewracany przez Partię Wolności okragły stół i cep do młócenia prawdy. Najwięcej było artykułów spożywczych: chleb przyniesiony przez Porozumienie Ludowe; pięto kielbasy, którym przebił Ślisza Blok Ludowo-Chrześcijański; dorodne warzywa i owoce oraz kurczak i ryba (nieżywe) — czyli zdrowa żywność serwowana przez Zdrową Polskę, a innym razem spleśniały dżem — czyli żywność niezdrowa, przed którą ta partia bronić nas będzie w Sejmie. Zdrowa Polska przyniosła także bryle ołowiu i szczęki hamulcowe; Chrześcijańska Demokracja — ziemię podłaską w koszyczku; a Partia Chrześcijańskich Demokratów — zabawki. No i jeszcze Bujak skakał ze spadochronem, Marek Edelman puszczał kaczki na Wiśle, a porucznik Borewicz instruował telewizorów jak głosować na lewicę. Wszystkich jednak przebili Zieloni — angażując „największego bioenergoterapeutę na świecie” dr. Lwa Szacha, który leczył nam z ekranu choroby serca, uszu, oczu i kontuzje.

Jak podsumować tę kampanię?

Długo szukałam odpowiedzi na to pytanie, a znalazłam ją w sobotnim (19 października) programie telewizyjnym „Obok wyborów”. Obecni w studio dziennikarze i socjologowie zastanawiali się m.in. nad tym, dlaczego prezentacje kandydatów na parlamentarzystów toczą się nad głowami elektoratu; dlaczego dominuje pustostawie i hasła adresowane do wszystkich i nikogo? Bo — odpowiedzieli uczestnicy dyskusji — niewielu kandydatów ma coś do powiedzenia; bo większość z nich nie ma żadnej nadziei na miejsce w Sejmie lub Senacie, chce więc tylko mieć tę swoją minutę przed kamerami, chce pokazać się rodzinie i kolegom z pracy, nagrać kasetę dla wnuków.

Jedno jest pewne: kampania nie ułatwiła wyboru. Trudny wybór przed nami.

Isabella Greczanik-Filipp



Partia „X”: Nasi przeciwnicy zaczęli wyć z radości, że Tymiński wyjechał. Przypominamy, że Piłsudski też na jakiś czas usunął się do Sulejówka, żeby potem wrócić i zwyciężyć.

Jak orzekłszy napój przyjmuje się deklarację Jerzego Umiastowskiego z Gdańska (PC): deklaruję dobrą wolę.

Osobowości

Napisałam, że prezentowano nie programy, lecz liderów — i to jest prawda. Ale czy pojawiły się jakieś nowe osobowości, poza powszechnie już znanymi?

Nie bez powodu Unia Demokratyczna, w której najwięcej jest znanych postaci, plasuje się na szczycie wszystkich list rankingowych. Niektóre partie włożyły mnóstwo wysiłku w spopularyzowanie swoich przywódców. SD dokonywało cudów pomysłowości, żeby wylansować Aleksandra Mackiewicza. Zasięgano opinii na jego temat u księdza proboszcza („kandydat kocha swoją żonę, dzieci i ojczyznę”) i dzielnicowego („nie notowany”). Jakaś staruszka czepiała się nóg prezesa z okrzykiem „poratuj nas, ginieśmy już zupełnie”. PSL do wydziwności z anonimowości swego nowego przywódcy Waldemara Pawlaka zaangażowała sędziwego generała Franciszka Kamińskiego, komendanta Batalionów Chłopskich („Pawlak podąży śladami Witosa, Rataja i Mikołajczyka”) oraz rodzinę i sąsiadów kandydata. Nie wyszło. Obaj liderzy wypadli odpychając i nieprawdliwie. Wyraźnie zaszkodziła im akcja opluwania, którą sami z upodobaniem prowadzili wobec innych.

jawiał się w telewizji, a jeśli już, to po to, by lansować swoją partię, co — jak wykazują rankingi — nieźle mu się udało.

Inne „osobowości” bredziły, bo były zmęczone lub głupie:

Aleksander Krawczuk (SLD, czyli byli komuniści): Każdy myślący obywatel powinien pomóc lewicy w imię demokracji.

Aleksander Mackiewicz (SD): Ktoś w tym kraju musiał pracować, żeby ktoś mógł walczyć. Nie byliśmy na szczytach barykad, byliśmy jej fundamentem.

Krzysztof Król (KPN): Społeczeństwo nie składa się z samych brodatych liberałów.

Michał Boni (KLD): Musimy umówić się co do nadziei na przyszłość.

Jakaś pani z SD: Więcej SB!

Rzeka pomyj...

płynęła z telewizora. Utyłtać się w niej może, a właściwie musi każdy. Bo cechą charakterystyczną tej, cokolwiek nudnawej, kampanii jest jednak opluwanie, demaskowanie, stawianie pod pręgierzem. Niektóre partie zrobiły z tego swój program: nie co zmienić, lecz kogo rozliczyć. Przdają w tym partię z określeniem „chrześcijańska” lub „katolicka” w nazwie, ludowe, a wszelkie rekordy bije (co nie dziwi) lewica i „X” Tymińskiego, oraz (co raczej zaskakuje) Stronnictwo Demokratyczne pod wodzą „duce” Mackiewicza. O Stronnictwie Narodowym nie mówię, bo to ludzie opętani obsesją spisku, więc trzeba im współczuć.

Cytaty z kampanii negatywnej zajęły

A my wiemy...

Z radością i zarazem satysfakcją, jako pierwsze pismo w Polsce, zawiadamiamy Państwa, że wyniki wyborów są już znane. Określa je dość dokładnie ordynacja produkcji wesołych profesorów Gebethnera i Gerekma. Nie wchodząc w szczegóły: jest tak, że system przyznawania mandatów przydziela je de facto wszystkim ugrupowaniom w okręgu prawie po równo. Będziemy mieć zatem w Sejmie około 30 klubów ogólnopolskich (po 10-15 mandatów) i około 30 klubów lokalnych (po 1-4 mandaty).

Ordynacja przesądza o wyniku — fantastycznie! Przy 30 klubach o podobnej liczebności bardzo łatwo będzie utworzyć rząd. Logika tego kształtu narzuca się sama — każda partia będzie miała jednego ministra. Jakiego która? Też narzuca się samo — przemysłem ciężkim zajmie się komunistka (niech je do końca swoją ukochaną żabę), handlem liberal, do spraw wewnętrznych nadaje się świetnie narodowiec, ministrem spraw zagranicznych ktoś z mniejszości na-

rodowych, MON dla KPN, Ministerstwo Pracy dla Solidarności Pracy itd., itp.

Tak utworzony rząd (oparty na wszystkich klubach ogólnopolskich) będzie miał około trzech czwartych miejsc w Sejmie, czyli będzie bardzo stabilny i Senat go nie przyblokuje. Opozycja utworzona wedle klarownego podziału zgrupuje komitety lokalne. Można się spodziewać, że na jej czele stanie poseł Ciurus. Pewien problem nasuwa się tylko z funkcją premiera. Albo trzeba będzie go zlikwidować (wzorem USA), wtedy Lech sam stanie na czele rządu, albo mianować kogoś lubianego przez miążdzącą większość społeczeństwa, np. prof. Łętowską lub prymasa Glempa.

Rzecznikiem takiego rządu pewnie zechce zostać Urban. Aby jednak temu zapobiec, należałoby jeszcze przed wyborami dodać do ordynacji poprawkę — że godność tę przy- musowo dzieli przez całą kadencję współautorzy całej zabawy — „ordynatorzy” G. i G.

Mariusz Muskat

Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne

O sile sprawczej napojów wysokokowych

Dawno, dawno temu, w kawiarni zakopiańskiego Domu Turysty siedzieli sobie dwaj panowie i popijali piwo, choć pewne kompetentne źródła wskazywały później, że w grę wchodziły również nieco mocniejsze procentaże. Jak zwykle przy tego rodzaju konsumpcji zastanawiano się, czym by tu można było ulepszyć i ubarwić szarą podówczas rzeczywistość.

Zakopane, w którym ongiś na każdy kamienisty metr kwadratowy przypadało średnio 3,8 artysty, ponieważ samo podpowiadało radosną możliwość nawiązania do tradycji. Dwaj panowie — a byli nimi znany rzeźbiarz Władysław Hasiór oraz reżyser filmowy Grzegorz Dubowski — postanowili powołać do istnienia coś, co wkrótce nazwano Przeglądem Filmów o Sztuce.

Dorywcze pokazy tego typu filmów odbywały się sporadycznie już wcześniej w Warszawie, Kielcach i Krakowie, ale okrzyki dopiero w 1968 roku właśnie w Zakopanem. Odtąd, co dwa lata, stolica polskiego dandyzmu zamieniała się w małe Cannes. Lata siedemdziesiąte, jak się zgodnie dziś przynajmniej, to złoty okres polskiego filmu o sztuce, więc było co pokazywać.

Stan wojenny nie przerwał ciągłości artystycznych pokazów, choć nie były to czasy sprzyjające zajmowaniu się ulotnymi sprawami Parnasu. Przegląd stał się jednak bardziej rutynowy, mniej emocjonalny i odkrywczy, czego symptomem było nieprzyznanie w dwóch ostatnich edycjach Grand Prix. Wiosną 1990 roku nagrody miały posypać się po raz szesnasty, ale się nie posypały, bo Podhale ze sporym kawałkiem środkowo-wschodniej Europy wkraczało w ostry, kapitalistyczny zakręt.

Wydawało się, że prorokowany przez Witkacego koniec sztuki, przynajmniej tej na celuloidowej taśmie, sprawdzi się dokładnie. Pesymistycznych nastrojów i leż goryczy nie rozproszyła nawet rozpowszechniana przez Polskie Radio informacja o planowanej przeprowadzce przeglądu z kina „Giewont” na stołeczny Zamek Królewski...

Dwie nagrody i rower

Niedocieczone są jednak siły sprawcze napojów wysokokowych, bo oto pe-

wnego lutowego wieczoru, przy okazji inauguracji działalności DKF-u, afiliowanego przy Teatrze im. Witkacego, dwóch innych panów — a byli nimi tym razem Jerzy Armata oraz dyrektor teatru Andrzej Dziuk — po wystrzeleniu kilku korków szampa, postanowili reanimować podkradziony przez Warszawę pomysł. Jak się zabieg udał, mogliśmy się przekonać w pierwszych dniach października, kiedy to po raz czwarty odbywały się Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne, których lwia część stanowiły właśnie seanse krótkiego metrażu artystycznego.

Odbywały się one głównie w otwartej niedawno kawiarni-scenie teatru, ochrzczonej imieniem Atanazego Bazakbala, gdzie zainstalowano wideoaparaturę typu telebim. Pokazano na niej z kaset prawie 30 regulaminowych tytułów i sporą liczbę pozaregulaminowych. Zmieniona po raz kolejny formuła wydłużała *ad libitum* dotychczasowy maksymalnie półgodzinny czas projekcji oraz skasowała prawie wszystkie nagrody z wyjątkiem dwóch. Grand Prix — była nią rzeźba Władysława Hasióra — czterooosobowe jury pod prezesurą Krzysztofa Gierata, zgodnie z powszechnymi odczuciami, przyznało Henrykowi Dederce za obraz „Inocencjato”. Jest to interesująca próba przybliżenia postaci Tomasza Mechcińskiego — człowieka o „stu twarzach”. Drugi laur, czyli Grand Prix Publiczności przypadł natomiast filmowi „Trwamy” w reżyserii Igora Mołodeckiego.

Innowacyjne skapstwo w nagradzaniu spowodowało, iż pewna pani z centralnego Ośrodka Metodyki Uppowszechniania Kultury przyjechała z rowerem mającym uhonorować „aspekt o-

chrony środowiska w polskim filmie o sztuce”. Ekologiczny jednośląd dostał się do rąk i pod stopy Andrzeja Różyckiego za „Nieskończoność dalekich dróg”.

Słowo gadane

Pojawienie się tego lauru spowodowało Władysława Hasióra do wygłoszenia gawędy o pewnym sławnym rewolucjonistcie, który zwykł spożywać napoje wysokokowe w porońskijskiej karczmie, która potem notabene przekształciła się w muzeum jego imienia. Jako jeden z pierwszych na Podhalu, do powrotów z karczmy używał właśnie wchodzącego wówczas w modę, bicykla.

Jak z powyższego wynika, filmowym obrazom towarzyszyło słowo gadane. Także w wykonaniu profesorów: historyka Janusza Tazbira, archiwisty Juliana Lewańskiego, pianisty Jana Ekierra i literaturoznawcy Jerzego Poradecznego, nie licząc wspomnianego już Władysława Hasióra. Wspólnym przedmiotem ich pięciu publicznych popisów erudycji miał być temat zadany — „Koniec wieku”. Bohaterowie dyskusji raczej jednak umykali mu, obawiając się stawiania diagnozy. Powszechnie zgadzano się, że to, co kiedyś rozpoczęły strzały w Sarajewie, kończy rozpad Imperium. Optymistyczna wymowa antytalitarnej *fin de siècle* u potwierdził osobiście obecny na Bazakbalewidowni „lucky man mechaniczny pomarańczy” czyli brytyjski aktor Malcolm McDowell. Ujawnił, że właśnie wraca z dłuższego pobytu w ZSRR, ale polska pierestrojka podoba mu się bardziej, jako zdecydowanie weselsza.

Koniec wieku tuż, tuż

W ramach prezentacji końca wieku odbyło się również kilka seansów teat-



Fot. Jacek Studziński

Hasiór gawędziarz

ralnych. Dwie sztuki Michela de Ghelderode'a przywiózł ze Słowacji ansambl o wdzięcznej nazwie Teatro Tatro. Scena Plastyczna KUL pokazała dwa autorskie dzieła swego szefa — Leszka Mądziaka — „Zielnik” oraz „Wilgoć”. Warszawska Pracownia „Teatr” uraczyła nas — bardziej rozbudzającym głód teatralnych doznań, niż go sycającym — „Obiadem”. W dwóch spektaklach wystąpili też gospodarze czyli Teatr im. Witkacego.

W kinie „Giewont” z dwudniowymi opóźnieniami pokazywano retrospektywę Andrzeja Papużyńskiego i etudy studentów. W Galerii Władysława Hasióra odbywał się osobny, pozaregulaminowy ogląd filmowej twórczości, poświęconej lokalnemu kręgowi oddziaływań zakopiańskich — z samym Hasiórem i Witkacym w rolach głównych. A komu było mało, mógł sobie przedłużyć nadpodaż wrażeń, spacerując przez trzy kolejne dni do popularnej „Cyrankiewiczówki” czyli Galerii Sztuki W.J. Kulczyckich na Kozińcu, gdzie odbywała się sesja, poświęcona Witkiewiczowi — seniorowi. Działo się więc sporo i zazwyczaj ciekawie.

Turyści, którzy nie zaplanowali sobie urlopu na początku października, nie mają jednak czego żałować. Jak wszyscy wiemy, do prawdziwego końca wieku pozostało jeszcze trochę czasu.

Andrzej Głowaczewski

ogromne pole dla inwencji twórczej! Uszyłem w życiu dużo plecaków, a nie było dwóch takich samych. To była bardziej działalność artystyczna niż rzemiosło. Rolnictwo, to wiadomo — czysta przyjemność: żywy kontakt z naturą, powrót do sielanki dla mieszczucha, który ma tylko wspomnienia ze wsi z dzieciństwa. Do wysiłku fizycznego podchodzi przy tym jak do treningu sportowego.

Nie potrafię radzić, jak żyć. Mnie się łatwiej żyje odkąd siebie polubiłem. Zauważyłem swoje kompleksy, bo przestałem się bać je zauważać. Doszedłem na przykład do wniosku, że studiuję ze względu na swoją potrzebę wyższości nad tymi niewykształconymi, więc rzuciłem studia. Potem okazało się zresztą, że studia nie są mi do niczego potrzebne, a nawet mi przeszkadzają. Kompleksy każały mi uprawiać wspinaczkę nie dla samej przyjemności wspinania, tylko dla udowodnienia sobie, że jestem odważny. Później się okazało, że to nie takie ważne, czy jestem odważny, czy nie. A gdy siebie polubiłem, okazało się, że łatwiej mi o kontakt z innymi, nie musiałem już pokazywać, jaki to ja jestem wspaniały. Zauważyłem, że inni też są wspaniali, mogłem się od nich uczyć. Jest to odkrycie, które pozwala żyć i być całkiem szczęśliwym.

Zanotowała:

Wiesława Kwiatkowska

Zbyszek Mielewcyk ma lat trzydzieści, jest programistą, zajmuje się składem tekstów na komputerze.

BYĆ albo
NIE BYĆ

● Departament Prasy i Informacji MSZ zaprosił nas na spotkanie poświęcone problematyce odszkodowań dla ofiar zbrodni nazistowskich, w którym udział wzięli wicedyrektor departamentu Europy, Jan Barcz. Rząd RFN przekaże 500 mln marek na pomoc najbardziej poszkodowanym. Pierwsza rata w wysokości połowy ogólnej sumy, trafi do Polski jeszcze w tym roku, dwie następne w ciągu dwóch najbliższych lat. Rozdziałem funduszy zajmować się będzie wyłącznie strona polska.

● „Łączność 91” — takie było hasło konferencji prasowej, jaką zwołał minister łączności Jerzy Śleszak w siedzibie PAI. Dziennikarzy poinformowano, że na wszystkie przejścia graniczne będziemy mogli dodzwonić się dopiero za półtora roku, warszawskie telefony będą działać sprawnie za dwa lata, natomiast Litwini połączą się ze światem poprzez Polskę za pomocą linii światłowodowej Północ-Południe (dziś linia łączy Bornholm z Koszalinem, a do końca 1993 roku przez Gdańsk i Warszawę dotrze do granicy z Czecho-Słowacją). Zakomunikowano również, że zakończyły się negocjacje między Pocztą Polską a amerykańską firmą AmeriTech i francuską FranceTelkom w sprawie budowy ogólnopolskiej sieci telefonii komórkowej — łączność nawiązywana jest tu za pomocą fal radiowych, zaś sieć współpracuje i uzupełnia klasyczną telefonię.

● Tematowi „Problem statusu językowego kaszubszczyzny” poświęcona była sesja popularnonaukowa, jaka odbyła się w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku. Przedstawione prace zarysowały obraz historyczno-kulturowy kaszubszczyzny oraz starały się odpowiedzieć na pytanie: czy jest to język czy dialekt? Sesję zorganizował WOK, Zakład Języka Polskiego UG, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie oraz redakcja „Pomeranii”.

● Tematyki regionalnej dotyczył także konkurs na współczesną sztukę ludową Kociewia. Organizatorów zaskoczyła duża liczba nadesłanych prac oraz ich wysoki poziom. Jury za najbardziej interesujące uznało: rzeźbę Alojzego Dmochewicza z Gniewa, obraz na szkle Wojciecha Lesińskiego z Tczewa oraz haft Heleny Abramowicz z Gdańska. Wystawa pokonkursowa czynna jest w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tczewie.

● Byliśmy na uroczystym jubileuszu 35-lecia pracy artystycznej, jaki obchodziła Halina Winiarska, pierwsza dama Teatru „Wybrzeże”. Uroczystości miały miejsce po wieczornym przedstawieniu „Dialogów karmelitanek” Georgesa Bernansasa, w którym aktorka wspaniale gra rolę matki Henrietty. Obok bezpośrednich życzeń i gratulacji od wielbicieli swego talentu, Winiarska otrzymała wiele listów i depech, w tym od ministra kultury i sztuki Marka Rostworowskiego oraz prezesa ZASP-u Andrzeja Łapickiego. Wszyscy — oprócz kwiatów — kierowali pod adresem aktorki serdeczne słowa oraz podkreślali jej wkład w dorobek polskiego teatru, a także jej wielką wrażliwość — zarówno na scenie, jak i w życiu.

● Warto być na aukcji dzieł sztuki chińskiej, jaka odbędzie się 25 października w Gdańsko-Flamandzkim Domu Aukcyjnym. Wśród kilkudziesięciu prac, wystawionych na sprzedaż, znajduje się tradycyjne malarstwo chińskie (specjalna technika), obrazy olejne, grafika i sztuka ludowa. Aukcję poprowadzi gratis Zeidler Art Gallery, zaś dochód z niej przeznaczony zostanie na rzecz kultury gdańskiej. Impreza ta — zdaniem konsula generalnego ChRL, pana Chen Shize — ma zapoczątkować współpracę pomiędzy Gdańskiem a Szanghajem, nie tylko zresztą w dziedzinie kultury.

● Wydawnictwo „Marpress” zachęca do przeczytania — a najpierw kupienia — książki Lecha Z. Niekrasza „Czerwone i brunatne”. Jest to tzw. biografia porównawcza, w której autor doszukuje się podobieństw i różnic między postaciami Stalina i Hitlera.

Sposób na życie

Prawo do świętego spokoju

Zawsąd słyszy się już nie krytykę, lecz pełne grozy narzekanie, wyrażające lęk przed tym, co przyniesie jutro. Poczucia bezpieczeństwa nie mieliśmy nigdy, teraz jakby w ogóle straciliśmy grunt pod nogami. Jesteś jedną z nielicznych osób, nie sprawiających wrażenia zapędzonych w „kozi róg”. Jak to robisz?

Wywoliłem się po prostu z kręgu, narzucanego przez środki masowego przekazu. Nie podlegam presji sytuacji zewnętrznej. Przez długie lata słuchałem radia, czytałem bardzo dużo gazet, słuchałem tego, co mówi czerwononogi, odgadywałem podteksty, angażowałem się, przejmowałem. Życie toczyło się jakby wokół narzucanego przez mass media tematu. Zaczęłem się powoli uniezależniać.

Odkąd kilkanaście lat temu kupiłem sobie namiot, poczułem się wolny od warunków mieszkaniowych. Odkąd nauczyłem się kilku zawodów, stałem się wolny od lęku o egzystencję — wiem, że w każdych warunkach przeżyję. Umiejętności, malować ściany i konstrukcje metalowe, spawać. Robiło się wszystko. Chyba w siódmej klasie podstawówki przeczytałem książkę o jodze. Zaczęłem sobie od czasu do czasu głodować — najdłużej dziesięć dni — i uwolniłem się od lęku przed głodem. Zobaczyłem, że to nic strasznego, wręcz przeciwnie, przynosi same korzyści.

Moje dorastanie to uwalnianie się od kolejnych lęków i kolejnych przywiązań. Mogę już teraz patrzeć bez emocji

na to, co rząd wyprawia, nie wprowadza mnie to w ciągły stres. To się pewnie wiąże z pogłębieniem, przetrwaniem mojej wiary. Mój rozum zaakceptował fakt, że można być szczęśliwym w każdych warunkach i przygotował do tego psychikę. Teraz po prostu to wiem.

Tak, jestem katolikiem, ale mam opory przed chodzeniem w niedzielę na mszę. W kościele odnoszę wrażenie braku autentyzmu. Wydaje mi się, że większość obecnych przychodzi z przyzwyczajenia, dla rytuału, a nie z potrzeby ducha. Po książkach też widać rutynę, a bywa, że wykorzystują mszę do celów nieduszpasterskich — padają z ambon jakieś polityczne zalecenia, księża wykorzystują swoją pozycję dla załatwienia komuś jakiegoś politycznego interesu. To jest ta moja niechęć do kontaktów z Kościołem na co dzień.

Uważam, że najważniejszą sprawą, którą powinno się zajmować państwo, jest dbałość o wolność jednostki. Nie powinno się wtrącać w te dziedziny, gdzie obywatele dadzą sobie radę sami. Może ingerować tylko tam, gdzie to jest niezbędne. Podstawowym prawem

człowieka jest, moim zdaniem, prawo do świętego spokoju. Obywatel ma prawo nie być zmuszany do niczego, poza tym, żeby nie przeszkadzał innym żyć w świętym spokoju. Staram się tak żyć. Stosuję metodę pantofelka, który cofa się, gdy środowisko jest za kwaśne lub za gorące. Nie pcham się tam, gdzie mnie nie chcą.

Poza krótkim czasem praktyki studenckiej, nie pracowałem na państwowej posadzie, bo tam mnie nie chcieli i nie chcą. Płacąc zresztą nie pensję, a zasiłek. Wykonywaną pracę marnuję albo każę siedzieć i nic nie robić. Idę więc tam, gdzie moja praca jest potrzebna. A ponieważ nie uważam, aby ktokolwiek miał obowiązek zapewnić mi pracę, sam jej sobie szukam. Wyznaję przy tym zasadę, że należy robić to, co się lubi, wtedy przyjdą profity. Dlatego staram się robić to, co lubię i dopiero potem zastanawiam się, jak na tym zarobić pieniądze. Żyję więc ze swojego hobby, a to jest zabawa. Nie wytrzymałbym długo w żadnej pracy, w której nie ma elementów zabawy. Może nią być malowanie na linie — można się pohuścić, pooglądać widoki. Albo szycie — jakie

Przebrzmiała modlitwa Pańska,
Przebrzmiała mowa ludu, który
wykreślono z Księgi Rodzaju.
(Erwin Kruk, „Kronika z Mazur”)

Ślady niemczyzny

„Niedojeżdzone owieczki”?

Walterowi K. Polska objawiła się pewnego styczniowego poranka 1945 roku pod postacią Czerwonej Armii. Do ich domu przyszło ich trzech. Matkę zgwałcili, a jemu dali cukru. Walter do dzisiaj czuje jego smak. I żołnierza, płowowłosego jak on. Nie o to ma jednak Walter pretensje do Polski. Jeżeli już, to raczej do tych Kurpiów, co przyszli po Ruskich. Oni nie przychodzili z czerwoną gwiazdą; z orłem i krzyżem szli. I tylko rabowali — odchodzili jedni, przyjeżdżali następni. Całe furmanki wywozili.

Rodzina Waltera wyjechała do Niemiec dopiero w 1957 roku. On został, zakochał się w przybyszce zza Buga. Starszemu panu chyba trochę żal tamtej decyzji. Z ożenku i tak nic nie wyszło. Jej rodzina nie zgodziła się na ożenek: nie dość, że z Niemcem, to jeszcze „kociej wiary”, czyli mówiąc po ludzku z ewangelikiem. Walter nie bardzo chce powiedzieć, kim jest — Polakiem nie może, Niemcem nie chce — to niech będzie, że jest Mazurem od Szczytna.

Żołnierzy Czerwonej Armii nie interesowały etniczne niuanse Warmiaków i Mazurów. Ani ich polskość, ani niemieckość nie liczyła się. Ważne było tylko to, że doszli w końcu do ziemi wroga, a Stalin przyrzekł im prawo do zemsty. Dostali więc swój czas i wykorzystali go, jak umieli. Pewnie byli święcie przekonani, że to, co czynią — czynić powinni.

Przekonał się o tym Alojz Wrónka — Warmiak — który z pierwszej wojny wrócił pełen wiary w Rosję i słowiańskie braterstwo. W styczniu czterdziestego piątego wyszedł przed swój dom w podolsztyńskiej Rusi powitać wyzwolicieli. I koło tego domu go pochowano.

Pierwsze uderzenie

poszło po Mazurach. Ilu ich zamordowano nie wiadomo. Może 5, a może 10 tysięcy. Ilu wywieziono do łagrów, ilu przeżyło? W każdym razie kiedy już mogli wracać, czerwona Polska się ich wyrzekła. Przejeżdżające przez Olsztyn transporty pod konwojem kierowano do Niemiec.

A później „wyzwolono” Warmię. Z mniejszym już impetem, ale za to sowiecką fantazją. Olsztyn palono trzykrotnie — z radości po zajęciu miasta, drugi raz z niewiadomej przyczyny i trzeci, radując się z zakończenia wojny. Olsztyn te wybuchy jakoś przetrzymał, tak że nie dopalone Stare Miasto posłużyć jeszcze mogło za scenę dla przyciągnięcia kapitana Klossa.

W marcu poczęła instalować się polska administracja. Nadal jednak był to obszar „trofejny”. I nadal grabiono i mordowano. Nie tylko zresztą Mazurów i Warmiaków. Raporty starostów i powiatowych komend milicji pełne są informacji o przestępstwach rosyjskich żołnierzy. Szczycieński starosta w sprawozdaniu za lipiec 1945 roku pisał: „Zdarzały się ostatnio wypadki, że osadnicy broniąc swego mienia zostali zastrzeleni, oraz że w obecności rodziców wojskowi gwałcili ich córki. 28 października tegoż roku we wsi Wielopole pięć osób raniono, pięć zabito”. Itd., itd.

Odejście Sowietów nie przyniosło jednak Warmiakom i Mazurom, czyli jak ich z grecka ochrzczono autochtonom, upragnionego spokoju. Z Warszawskiego i Białostockiego zaczęli zajeżdżać do nich tamtejsi wieśniacy. I oni myśleli, że sprawiedliwości stać się musi zadość.

Grabili więc nie zagrabione. Od wschodu i południa sunęły całe kolumny wozów, nierzadko eskortowane dla „bezpieczeństwa” przez milicję.

Nikt ludzi z „krajiny Smetka” nie bronił. Władze okręgu może i miały dobre intencje, ale były daleko. Po małych miasteczkach i wsiach władzą było UB i MO. A ci też wyciągali rękę po „swoją” część łupu. Sięgali też po życie. Cóż mógł myśleć o tej Polsce, która przyszła, K. Zacheja, któremu osadnik podrzucił karabin, a milicjanci z olsztyńskiego posterunku chcąc, by przyznał się do przynależności do Wehrwolfu, zakatowali na śmierć. Można by podumać, gdzie teraz jest i kim się czuje Mazurka z Paprotek, której milicjanci kazali wykopać sobie grób, położyć się do niego, a potem „bili grubym kijem po głowie do krwi”. Giżycki starosta przerwał tę egzekucję. Uratował życie, ale serca dla Polski pewnie nie.

„Nowa Polska”

przyszła zatem do „autochtonów”, podzielonych na Niemców i Polaków i jeszcze tutejszych, swojskich, co im ojczyzną była własna chata. Żadnym z nich nie dano jednak szansy bycia Polakami. I winni temu są nie tylko „oni”, ale i Polska „prawdziwa”, najczystsza, bo katolicka, spod Mławy czy Ostrołęki. Szczególnie jeżeli chodzi o Mazurów. Wyrzucając ich z gospodarstw, zabierając mazurskie kirchy, stawiano kropkę nad „i”.

Do końca 1946 roku poddało się jednak weryfikacji, czyli „zapisaniu na Polaka” 106 tysięcy osób. Przed wojną liczbę Polaków w południowych Prusach szacowano, zapewne przesadnie, na około 300 tysięcy. Część z nich na przełomie 1944/45 roku ruszyła na zachód, uciekając przed Sowietami. Wróciło ich z Niemiec i Danii ledwo 5 tysięcy. Nie wrócił nawet syn przedwojennego wydawcy „Gazety Olsztyńskiej”.

Większość z tych 106 tysięcy „zapisała się na Polaków” dobrowolnie. I była nadzieja, że to będzie coś więcej niż statystyka, gdyby komuniści choć trochę zadośćuczynili ich krzywdom. Zamiast tego czołowi działacze mazurscy powędrowali do więzień. Zaczęto kolektywizację. Represje, choć nie odbiegały na tym terenie od ogólnokrajowej normy, a dla Warmiaków i Mazurów miały szczególny wymiar.

Nie można jednak powiedzieć, żeby się nimi specjalnie nie opiekowano. Czyniono to jednak zgodnie z duchem czasu, miążując wychowawcami funkcjonariuszy UB. Dzięki ich trosce wiemy więc, ile miesięcznie wysyłano listów do RFN, a ile stamtąd przychodziło i jaki procent z nich zawierał materiały szkoleniowe czy działalność kilkunastu tajnych organizacji niemieckich. Największą z nich kierował notabene

Mazurzy, „uprawiali propagandę przeciwko państwu polskiemu”.

Czy więc dziwić powinno, że z chwilą kiedy pojawiła się taka możliwość, „autochtoni” ustawili się w kolejce po zgodę na wyjazd? W 1952 roku złożono 9779 wniosków wyjazdowych. W tym samym czasie władzę rozpoczęły akcje wydawania im dowodów osobistych. Przez rok z około 70 tysięcy uprawnionych przyjęło je niewiele ponad 17 tysięcy.

Zwieńczeniem pierwszej dziesięciolecia komunistycznych rządów na Mazurach było ostateczne zakończenie procesu „stawiania się Niemcami” — ich rdzennych mieszkańców. Badający w połowie lat pięćdziesiątych świadomość narodową Mazurów Kazimierz Sopuch zanotował, że „oficjalni Polacy aż kipieli z nienawiści do Polski, a szczególnie do tych, którzy na danym terenie ją reprezentowali”.

W latach 1956—59 z województwa olsztyńskiego wyjechało około 38 tysięcy osób. Drugie tyle chciało, ale im nie pozwolono. Gdyby nie zakaz dalszych wyjazdów, Mazury bez Mazurów mielibyśmy dwadzieścia lat wcześniej. Za Gierka poczucie wstydu zostało zastąpione przez podejście menedżerskie. Akcję łączenia rodzin powiązano bowiem z żądaniem kredytów. Nie tylko więc nie przeszkadzano, ale wręcz nakłaniano do wyjazdów, a nierzadko i zmuszano. Ta fala lat siedemdziesiątych zmioła nie tylko Mazurów ale i Warmiaków. W końcu język niemiecki

śluchacz powołanego do repolonizacji Uniwersytetu Ludowego. Później przejawiała się prawie wyłącznie we wnioskach o wyjazd. Tak było i z inicjatorami powołania do życia stowarzyszenia niemieckiego, którego zarząd w komplecie wyjechał do RFN.

Dlatego to

eksplozja niemieckości

w ostatnich dwóch latach w Olsztynie była prawdziwym szokiem. Szczególnie dla opiniującego podania rejestracyjne towarzystw niemieckich Urzędu Wojewódzkiego, którego urzędnicy próbowali wyperswadować założycielom używanie w nazwach takich określeń jak „mniejszość niemiecka” czy „Niemcy”. Ostatecznie wszystkie pięć zarejestrowano.

Ich programy nie różnią się specjalnie od siebie. We wszystkich zakłada się chęć integrowania ludności rodzimej i reprezentowanie jej interesów przed władzami i społecznością polską. W praktyce jednak, zdaniem Waltera Angrika, prezesa Olsztyńskiego Stowarzyszenia Mniejszości Niemieckiej, największą potrzebą jest nauka niemieckiego, bo znajomość wśród młodego pokolenia jest znikoma, i pomoc socjalna dla seniorów. Ci ostatni zresztą często przychodzą przekonani, że polega ona na tym, że od ręki dostaną sto marek. Rozczarowawszy się szukają pomocy w innych towarzystwach.

Stowarzyszenie Polaków Narodo-

Chcą działać wśród swoich i dla swoich, ale nie przeciwko Polakom. Propagują przecież ideę „dobrego sąsiedztwa”, a zaplanowany do odbudowy katolicki dom dla emerytów ma służyć wszystkim. I jak ognia boją się polityki. „Nie jesteśmy żadną partią, nie chcemy, aby ktoś nam mącił”, mówi Angrik, zaś prezeska Stowarzyszenia Polaków Narodowości Niemieckiej Helena Butrym zaznacza, że „to nie jest polityczna sprawa, tu chodzi o to, żeby dać ludziom trochę otuchy”. Boją się też radykałów i z wyjątkiem jednego towarzystwa nie utrzymują oficjalnych kontaktów z ziomkostwami. Chcą mieć prawo do kulturowania swojego języka i kultury i niewiele więcej. Jest to zgodne z zaleceniami ambasady niemieckiej, która swoją pomoc uzależnia od przestrzegania naszej konstytucji.

To „niewiele więcej” nie daje jednak spać wielu ludziom. W Olsztynie szum wokół Królewca ma zupełnie inne brzmienie niż w Warszawie. Po kątach szepcze się o wykupywaniu przez Niemców ziemi i o tym, że „oni” chcą tu wrócić. Modne ostatnio „twarde reguły ekonomii” i tu jednak zmieniają postawy. Coraz częściej bowiem ludzie mówią — niech kupują i Niemcy, byle w ogóle ktoś nas kupił.

Trudno powiedzieć, jakimi wpływami dysponują owe towarzystwa wśród resztek ludności rodzimej. Nikt bowiem tak naprawdę nie wie, ile jej w Elbląsku, Olsztynie i Suwałkach (na tym terenie działają) zostało. Może 10, może 20 tysięcy. Największe z towarzystw, to kierowane przez Waltera Angrika, skupia około 1900 członków. Pozostałe nie przekraczają liczby 500. Naturalną barierą mogłaby tu być szacunkowa liczba „autochtonów”, gdyby nie to, że ich członkami mogą być nie tylko ludzie „właściwego pochodzenia”, ale i wywodzący się z rodzin mieszanych, i ci co mają „dobrze urodzonych” współmałżonków. Stąd pośród Niemców mamy i takich, co się urodzili pod Wilnem czy Kielcami. Dociekliwy znalazłby w nich nawet i urzędników, gorliwie w swoim czasie realizujących politykę oczyszczania Warmii i Mazur z „niemczyzny”.

Niemcy nie mogą też liczyć na potencjalnych „swoich”. Zrezygnowali na przykład z prób pozyskania konsentora Kościoła ewangelicko-augsburskiego ks. Jerzego Otello „bo to Polak”. Poza tym ruchem znajduje się też Mazur, pisarz i senator RP Erwin Kruk. Dla części Warmiaków i Mazurów bycie Polakiem stało się bowiem na tyle naturalne, że stać się mogą Niemcami tylko wbrew sobie.

Jedną z animatorek zarejestrowanego w ostatnim czasie, kolejnego już Stowarzyszenia „Jodły” powiedziała nam, że „tych Mazurów to nam doklejonno, może inaczej było u Warmiaków; u nas nie było żadnych Mazurów, tylko Niemcy”. Próbuje zaprzeczyć temu Tadeusz Willan, założyciel Stowarzyszenia Mazurskiego, którego członkami mogą być obywatele polscy miejscowego pochodzenia „przyznający się do kultury i tradycji mazurskiej”. Walter K. jak raz pasowałby do tego stowarzyszenia. Nie po drodze mu jednak z jego szefem, który był kolejno redaktorem olsztyńskiej mutacji niemieckojęzycznej „Arbeiterstimme”, potem dwutygodnika „Warmia i Mazury”, a ostatnio aktywistą Stowarzyszenia „Wisła—Odra”.

Zamiast podsumowania i prognoz proponujemy pointę z archiwalnych szpargałów. W sprawozdaniu za styczeń 1948 roku nidzicki starosta raportował: „Ślady niemczyzny na terenie miasta obecnie pojawiały się na skutek działalności atmosferycznej (zmywanie przez deszcz farby)”. W lutym meldował, że „ślądów niemczyzny nie zatarło z powodu warunków atmosferycznych”.

Bożena Domagała
Igor Hrywna



Fot. Grzegorz Dolecki

zniknął na zawsze z olsztyńskiego dworca PKS. Wydawało się, że z tym zniknął i problem, że nie już nie będzie zakłócać głoszenia wszem i wobec odwiecznej polskości tych ziem. Większość rdzennych mieszkańców przecież wyjechała, a od tych, co pomimo wszystkiego zostali, można było oczekiwać, że uczynili to z poczucia polskości. Paru „świętów”, jak się przyjęło tu nazywać działaczy warmińskich i mazurskich starszego pokolenia, miało „zaświadczać”. I to by było tyle. Może by choć to się komunistom udało, gdyby nie rok 1989 i pojawienie się z taką mocą niemczyzny na Śląsku.

Niemieckość ujawniała się w Olsztynie na zewnątrz tylko do połowy lat pięćdziesiątych. Obok bojkotowania akcji nadawania dowodów osobistych przybierała formy nielegalne, jak na przykład tajne nauczanie języka niemieckiego czy działalność kilkunastu tajnych organizacji niemieckich. Największą z nich kierował notabene

wości Niemieckiej zorganizowało dla dzieci „zajęczka”, który zgodnie z niemiecką tradycją wielkanocną przynosił im prezenty. Wśród zabaw była i „nauka dla nich pioseneczki w języku niemieckim”. Na towarzyskiej nauce niemieckiego nie kończą się jednak ambicje niemieckich towarzystw. W planach są przedszkola i, być może, szkoły. Ich realizacja uzależniona jest, rzecz jasna, od pieniędzy. A tych wbrew pozorom nie mają aż tak wiele. Pomoc deklarują tu Niemcy. Jak jednak taką inicjatywę przyjmą Polacy? Niemiecy działacze, pamiętając przeboje z liceum ukraińskim, są nieco sceptyczni. Chociaż z drugiej strony pogłoskę o otwarciu niemieckiego liceum w Olsztynie komentowano nie tyle w duchu „germanizacyjnym” ile jak ją załatwić dla swoich dzieciaków. No i niewiadoma jest reakcja władz, które póki co nie mogą znaleźć dla Niemców żadnego pomieszczenia, choć lubią ich zapraszać, gdy do Olsztyna zawinie jakaś delegacja z RFN.

PROGRAMY STAŁE

PROGRAM I

8.00 Wiadomości poranne
17.15 Teleexpress
19.30 Wiadomości

PROGRAM II

7.30 Panorama
16.30 Panorama
21.00 Panorama
24.00 Panorama

PIĄTEK — 25 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

8.10 „Dzień dobry”
9.10 „Domowe przedszkole”
9.35 „Szkoła dla rodziców”
10.00 „Bill Cosby show” — serial prod. USA
11.50 Wiadomości

12.00—16.00 Telewizja Edukacyjna

12.00 Agroszkola
12.30 „Szańchajskie stare miasto” — chiński film dok.
13.00 „Szop i wilk” — koreański film animowany
13.10 Eko—Lego
13.35 Trudna historia
14.00 „Religie i Kościoły w Polsce” — film dok.
14.40 „Jeśli nie Oxford, to co?”
15.10 Telewizja Edukacyjna zaprasza
15.30 Uniwersytet Nauczycielski — Polacy 1980-1990

16.00 Studio 7 proponuje
16.15 Dla młodych widzów: „Ciuchcia”
17.05 Język angielski dla dzieci
17.35 „W kinie i na kasiecie”
18.05 „Bill Cosby show” — serial prod. USA
18.30 „Raport” — public. międzynarodowa
19.00 „Reflex” — program public.
19.15 Dobranoc: „Bouli”
20.05 Studio wyborcze
21.10 Polska z oddali — Jan Nowak Jaziorański
21.15 „Miasteczko Twin Peaks” — serial prod. USA

22.00 „ABC ekonomii”
22.05 „Polskie zoo” — program satyryczny
22.20 Zespół publicystyki „Zapis” przedstawia...
23.00 Wiadomości wieczorne
23.25 „1000 pytań” — teleturniej
0.15 BBC — World Service

PROGRAM II

7.35 „Rano”
8.10 „Lucky Luke” — serial francuski
8.30 „W labiryncie” — serial TP
9.00 Transmisja obrad Sejmu
16.25 Powitanie
16.40 „Pokolenia” — serial prod. USA
17.05 „Dookoła świata” — „Przez trzy kanały”
17.30—21.00 Program regionalny
w tym: 18.30 Lokalny program wyborczy
21.20 Sport
21.30 Jazz Jamboree '91
18.00 „Przygody dobrego wojaka Szwejka” (3) — serial austriacki
23.00 „Obrazy, słowa, dźwięki” — program o sztuce
0.05 Jazz Jamboree '91

SOBOTA — 26 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

7.30 Program dnia
7.35 „Wszystko o dziecie”
8.00 Wiadomości poranne
8.10 „Rynek — Agro”
8.40 „Na zdrowie” — program rekreacyjny
9.00 „Ziarno” — program Red. Katolickiej
9.25 „5-10-15” — program dla dzieci i młodzieży
10.30 Język angielski dla dzieci
10.35 „Wojownicze żołwie Ninja” — serial anim. prod. USA
10.55 „Ściśle jawne” — wojskowy magazyn public.
11.20 Telewizyjny koncert zyczeń
11.50 Wiadomości
12.00 „Z Polski rodem” — magazyn polonijny
12.40 „My i świat”
13.00 „Siódemka” w „Jedynce” — francuski program satelitalny
14.00 Walt Disney przedstawia: „Kacze opowieści” — „O chłopcu, który rozmawiał z bor-sukami” (1)
15.15 „Czas rodzin” — magazyn
15.45 „Kto się boi szkoły” — program public.
16.25 „Skarbiec” — magazyn historyczny
16.55 Katolicki Magazyn Młodzieżowy
17.30 „Z kamerą wśród zwierząt” — Sępy
17.50 Magazyn kulturalny „Wizje”
18.20 „Detektyw w sutannie” — „Gdzie jest nieboszczek” (2) — serial prod. USA
19.15 Dobranoc: „Domel”
20.00 „Polskie zoo” — program satyryczny
20.15 „Kobieta bez przeszłości” — film francusko-włosko-australijski; reż. Joyce Bunuel, wyk.: Martin Sacks, Ludmila Michael
21.45 Sportowa sobota
22.35 Wiadomości wieczorne
23.00 „Przełom” — film niemiecki, reż. Andrew V. McLaglen, wyk.: Richard Burton, Robert Mitchum, Curt Jurgens

PROGRAM II

7.35 „Kaliber '91” — magazyn wojskowy
8.00 Dla dzieci: „Ulica Sezamkowa”
9.00 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
9.30 „Fashion Show, czyli moda i biznes”
10.00 CNN
10.10 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
10.40 „Tacy sami” — program w języku migowym
11.00 Polska Kronika Filmowa
11.10 Akademia polskiego filmu: „Zagubione uczucia”, reż. Jerzy Zarzycki, wyk.: Maria Klejdyś, Andrzej Jurczak
12.30 XXV Festiwal Pianistyki Polskiej — Słupsk '91
13.00 Zwierzęta świata: „Beczenna przyroda” (6) — angielski serial dok.
13.35 „Klub Yuppies” — program dla młodzieży
14.00 „Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego”
14.40 „Ekspres reporterów”
15.10 Program dnia
15.20 „Vademecum teatromana”
16.00 „6 z 49” — teleturniej
16.40 „Pan wywał, milordzie?” (9) — serial angielski
17.30 „Jetsonowie” — serial anim. prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 „Marzenia całkiem zwyczajne” — recital Moniki Niemczyk
19.00 „Dziewczyna miesiąca”
20.00 XXXIV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej — Warszawska Jesień '91 — Koncert finałowy (2)
21.20 „Słowo na niedzielę”
21.25 „Bez znieczulenia”
21.40 Jazz Jamboree '91
22.00 „Sprzedać Hitlera” (1) — serial angielski, reż. Alastair Reid, wyk.: Jonathan Pryce, Alexei Sayle, Alison Doody
23.00 Jazz Jamboree '91

PROGRAM II

7.35 „Rano”
8.10 „Lucky Luke” — serial francuski
8.30 „W labiryncie” — serial TP
9.00 Transmisja obrad Sejmu
16.25 Powitanie
16.40 „Pokolenia” — serial prod. USA
17.05 „Dookoła świata” — „Przez trzy kanały”
17.30—21.00 Program regionalny
w tym: 18.30 Lokalny program wyborczy
21.20 Sport
21.30 Jazz Jamboree '91
18.00 „Przygody dobrego wojaka Szwejka” (3) — serial austriacki
23.00 „Obrazy, słowa, dźwięki” — program o sztuce
0.05 Jazz Jamboree '91

PROGRAM TYGODNIOWY



Ferrer, John Houseman
23.00 Jazz Jamboree '91

PONIEDZIAŁEK — 28 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

13.25 Wiadomości

13.35—16.00 Telewizja Edukacyjna

13.35 Język francuski (8)
14.15 Język niemiecki (9)
14.50 Język angielski (9)
15.20 Uniwersytet Nauczycielski — Kto się boi szkoły

16.00 Studio 7 proponuje
16.15 „Luz” — program nastolatków
17.30 „Studio eksperymentalne” — program Olgi Lipińskiej
17.55 Sportowy hit
18.05 „Kraje, narody, wydarzenia”
18.50 „Alf” — serial prod. USA
19.15 Dobranoc: „Reksio”
20.15 Teatr TV na świetle; Minna Canth — „Anna Liza”, reż. T.M. Niskanen (spektakl prod. fiński)

21.50 „ABC ekonomii”
22.00 „Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej” — „S”
22.40 Wiadomości wieczorne
23.00 „Zawsze po 21-szej”
23.45 BBC — World Service

PROGRAM II

16.25 Powitanie
16.40 „Pokolenia” — serial prod. USA
17.05 „Gol” — magazyn piłkarski
17.35 „Lekarz też człowiek” (8) — „Telefon” — serial angielski
18.00 Program lokalny
18.30 „Ojczyzna-polszczyzna”
18.45 „Zbliżenia, czyli to i owo o filmie”
19.25 Zapraszamy do „Dwójki”
19.30 Język niemiecki (5)
20.00 „Prawo wyboru” (1) — program public.
20.30 „Nos władzy” — reportaż
21.20 Sport
21.30 „Z dziejów parlamentaryzmu” — „Kto rządzi Ameryką?”
21.50 „Marie w błękitnym mundurze” (9) — „Diabelska sprężyna” — serial francuski
23.05 Teleklina dr. Anatolija Kaspirowskiego
23.40 Pieśni hiszpańskie śpiewa Montserrat Caballé

WTOREK — 29 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

8.00 „Dzień dobry”
9.10 „Domowe przedszkole”
9.35 „To się może przydać”
10.00 „Wielka miłość Balzaka” (5) — serial TP
11.50 Wiadomości

12.00—16.00 Telewizja Edukacyjna

12.00 Agroszkola
12.30 „Świat chemii” — „Stan materii” — serial dok. prod. USA
13.00 Fizyka — Prawa gazowe
13.30 Chemia — Sole
14.00 Przybysze z Matplanety — Lot na planetę Duet
14.30 Przygody kapitana Remo
14.45 „Świadkowie przeszłości” — „Zakłete Słońce” — czechosłowacki serial dok.
15.00 Telekomputer
15.25 Sezam — mag. popularnonaukowy
15.50 Klub Midi

16.00 Studio 7 proponuje

16.15 Dla dzieci: „Tik-Tak” oraz serial szwedzki: „Bamsie — najślinniejszy niedźwiadek na świecie”
17.05 Język angielski dla dzieci
17.30 „Test” — magazyn konsumenta
18.00 „Piłkarska kadra czeka”
18.10 „W Sejmie i Senacie”
18.30 „Królik Bugs przedstawia” — serial anim. prod. USA
18.55 Wywiad tygodnia
19.15 Dobranoc: „Pif i Herkules”
20.05 „Opowieść o „Dziadach” Adama Mickiewicza. Lawa” — film polski, reż. Tadeusz Konwicki, wyk.: Gustaw Holoubek, Joanna Piętko-Górecka, Artur Zmijewski, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Maja Komorowska, Grażyna Szapolowska
22.15 „ABC ekonomii”
22.20 „Dziennikarze ujawniają” — program public.
23.00 Wiadomości wieczorne
23.20 „Rozmowy z Nikodemem” — program Red. Katolickiej
23.55 BBC — World Service

PROGRAM II

7.35 „Rano”
8.10 Telewizja biznes
8.30 „Denver — ostatni dinozaur” — serial anim. francusko-amerykański
9.00 „W labiryncie” — serial TP
10.00 CNN
10.10 Język francuski (rep. I. 1-4)
16.25 Powitanie
16.40 „Pokolenia” — serial prod. USA
17.05 „Ostatnia karta” — film dok.
17.35 „Pod wspólnym dachem” (17) — „Sza-fa” — serial francuski
18.00 Program lokalny
18.30 „Ciebie, Boga, wysławiamy...”
18.55 „Sztuka świata zachodniego” (5) — angielski serial dok.
19.30 Język angielski (5)
20.00 „Milczę, śpiewam” — recital Antoniny Choroszy
20.30 „Mój teatr nad Prosną” — program public. kulturalnej
21.20 Sport
21.30 „Prawo wyboru” (2) — program public.
22.15 „Lorca — śmierć poety” (5) — serial hiszpański
23.10 „Non stop kolor” — magazyn muzyczny

9.00 „W labiryncie” — serial TP
10.00 CNN
10.10 Język francuski (rep. I. 1-4)
16.25 Powitanie
16.40 „Pokolenia” — serial prod. USA
17.05 „Ostatnia karta” — film dok.
17.35 „Pod wspólnym dachem” (17) — „Sza-fa” — serial francuski
18.00 Program lokalny
18.30 „Ciebie, Boga, wysławiamy...”
18.55 „Sztuka świata zachodniego” (5) — angielski serial dok.
19.30 Język angielski (5)
20.00 „Milczę, śpiewam” — recital Antoniny Choroszy
20.30 „Mój teatr nad Prosną” — program public. kulturalnej
21.20 Sport
21.30 „Prawo wyboru” (2) — program public.
22.15 „Lorca — śmierć poety” (5) — serial hiszpański
23.10 „Non stop kolor” — magazyn muzyczny

ŚRODA — 30 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

8.10 „Dzień dobry”
9.10 „Domowe przedszkole”
9.35 „Giełda pracy — giełda szans”
10.00 „Dynastia” — serial prod. USA
11.50 Wiadomości

12.00—16.00 Telewizja Edukacyjna

12.00 Agroszkola
12.30 „Mazurek Dąbrowskiego” — film dok.
13.30 „Swego nie znacie...” — Katalog zabytków: Szydłowiec
13.40 Spotkania z literaturą — „Do Miłości”, czyli staropolska liryka miłosna
14.10 Telewizyjny Słownik Biograficzny — Maciej Kalenkiwicz Kotwicz
14.30 Spotkania z literaturą — Polacy w literac-kiej legendzie
15.05 Wielka historia małych miast — Góra Kalwaria
15.30 Uniwersytet Nauczycielski — Nauka demokracji

16.00 Studio 7 proponuje
16.15 Kino nastolatków: „Wychowawca” — serial prod. USA
16.40 Dla młodych widzów: „Trzy, cztery... start”
17.30 „Szumy, zlepy, ciągi” (2) — magazyn artystyczny
17.55 „Klinika zdrowego człowieka”
18.15 „Świat w oczach Lema” — felieton
18.30 „Rewizja nadzwyczajna” — program Da-riusza Baliżewskiego
19.00 „Zielona linia” — program Red. Rolnej
19.15 Dobranoc: „Opowieści Wielniaczka”
20.05 „Dynastia” — serial prod. USA
20.55 „ABC ekonomii”
21.00 Spotkanie z rzecznikiem praw obywatelskich — prof. Ewą Łętowską
21.15 Program publicystyczny
22.30 Wiadomości wieczorne
22.55 BBC — World Service

PROGRAM II

7.35 „Rano”
8.10 Telewizja biznes
8.30 „Ulisses 31” — serial francuski
9.00 „W labiryncie” — serial TP
10.00 CNN
10.10 Język niemiecki (5)
16.25 Powitanie
16.40 „Pokolenia” — serial prod. USA
17.05 „Punkt widzenia” — program public.
17.35 „M.A.S.H.” — serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 „National Geographic — Poszukiwacz” (5) — serial dok. prod. USA
19.30 Język angielski (35)
20.00 „Powroty” — „Co słychać u Polaków w Wilnie” — film dok.
21.20 Sport
21.30 „Perły z lamusa” — „Jej pierwszy bał” — film francuski, reż. Julien Duvivier, wyk.: Marie Bell, Maurice Bernard, Louis Fernand

CZWARTEK — 31 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

8.10 „Dzień dobry”
9.10 „Domowe przedszkole”
9.35 „Przyjemne z pozytywne”
10.00 „Wysokie napięcie” (7) — serial francuski
11.20 „Sto lat” — mag. ubezpieczeń społecznych
11.50 Wiadomości

12.00—16.00 Telewizja Edukacyjna

12.00 Agroszkola
12.35 „Najstarszy testament” — „Genesis” — serial austriacki
13.10 „Sprawa żurba” — film dok.
13.45 Opowieści księżniczki Lilavati
14.00 Mieszkamy w Polsce — W Puszczy Białowieskiej

14.25 Zwierzęta świata: „Beczenna przyroda” (7) — angielski serial przyrodniczy
15.00 Bios znaczy życie
15.30 Wokół Ziemi — Rafa

16.00 Studio 7 proponuje
16.15 Dla młodych widzów: „Kwant”
17.30 „Telemuzak” — mag. muzyki rozrywkowej
18.10 „Spin” — mag. popularnonaukowy
18.30 „Podróż do Polski” — reportaż
18.50 Magazyn katolicki
19.15 Dobranoc: „Dziwne przygody Koziolka Matolka”
20.05 „Wysokie napięcie” (7) — francuski serial kryminalny
21.35 „ABC ekonomii”
21.40 „Polskie zoo”
21.50 „Bez pośredników” — program public.
22.10 „Pegaz”
22.40 „To nie jest sprawiedliwe” — program public.
23.20 Wiadomości wieczorne
23.45 BBC — World Service

PROGRAM II

7.35 „Rano”
8.10 Telewizja biznes
8.30 „Łębski Harry” — serial francusko-amerykański
9.00 „W labiryncie” — serial TP
10.00 CNN
10.10 Język angielski (5)
10.40 Język angielski (35)
16.25 Powitanie
16.40 „Pokolenia” — serial prod. USA
17.05 Express gospodarczy
17.35 „Cudowne lata” — serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 „Legendy filmu” — Burt Lancaster
19.30 Język francuski (I. powt. 1-4)
20.00 Studio Sport
21.35 Studio Teatralne „Dwójki” — Adam Mickiewicz: „Dziady”, reż. Jonas Vaitkus, wyk.: Valentinas Masalskis, Sigitas Kubilius, Algimantas Zigmautavičius i in.
23.20 „House Music” — program muzyczny

PIĄTEK — 1 LISTOPADA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: „Tęczowa kuleczka” — film czesłowski
10.20 Regina Smedzińska gra Sonatę g-moll Fryderyka Chopina
10.45 „Człowiek, który rozmawia z żurawiami” — japoński film dok.
11.30 Cmentarz w Łaskach
11.50 „Jam dwór polski” — film dok.
12.20 „Utracona Arka” — film dok.
13.20 „Dzieje kultury polskiej” — „Jagiellonowie” (4) — film dok.
14.20 Teatr dla dzieci: Ewa Szelburg-Zarembina — „Najdzielniejszy z rycerzy”, reż. Waldemar Śmigajewicz (opera dziecięca z muzyką Krzysztofa Pendereckiego)
14.50 „Jesteśmy Polakami” — film dok.
15.20 W starym kinie: „San Francisco” — film prod. USA, reż. William S. van Dyke, wyk.: Clark Gable, Jeanette MacDonald, Spencer Tracy
17.30 „Łyczakowski opowieści” — film dok.
18.05 Teatr Telewizji: Anna Kamińska — „Przepraszam mnie przez samotność, starość i śmierć”, reż. Andrzej Maj, wyk.: Halina Winiarska, Halina Słojewska
19.00 Wieczorka: „Dziadek”
20.05 „Miasteczko Twin Peaks” — serial prod. USA

20.55 Zespół publicystyki „Zapis” przedstawia...
21.25 Wielkie kreacje Mozartowskie — Symfonia D-dur „Haffnerowska”
21.50 „Moje Wilno” — reportaż
22.30 Wiadomości wieczorne
22.50 „Siódemka” w „Jedynce” — francuski program satelitalny

PROGRAM II

8.00 Powitanie
8.10 „Lucky Luke” — serial francuski
8.35 „Kamienne cienie Świętego Pola” — reportaż
9.00 „W labiryncie” — serial TP
10.00 CNN
10.15 Stanisław Moniuszko — „Litanie Ostrobramskie” II
10.30 „Wydra Pana Grahama” — film prod. USA, reż. Jack Couffer, wyk.: Bill Travers, Virginia McKenna, Peter Jeffrey
12.15 Stanisław Moniuszko — „Litanie Ostrobramskie” IV
12.30 „Sarkofagi” — reportaż
13.00 Kino dla młodych widzów: „Wiewiórka i czarodziejska muszla” — film czechosłowacki, reż. Vera Plivova-Simkova
14.10 „Bułat Okudźawa” — reportaż
15.10 Program dnia
15.20 „Jeśli zapomnę o nich” — reportaż
16.00 Film dokumentalny
16.40 „Jan Lechoń” — program Aliny Czer-niakowskiej
17.00 „Sekwencje o świętych polskich” Romu-alda Twardowskiego
17.20 „Listopad 1918” — film dok.
17.35 „Jesienna dziewczyna” — wspomnienie o Kalinie Jędrusiak
18.05 Pamięci górnikom Kopalni „Wujek”
18.30 „Betta Davis” — „Ten zły zły wulkan” — angielski film dok.
19.30 „Zakopiańskie nekropolie” — film dok.
20.00 „Henryk Wieniawski” — film dok.
21.20 „Przygody dobrego wojaka Szwejka” (4) — serial austriacki
22.20 „Pukam do drzwi kamienia” — Konkert z kościoła św. Boromusza w Warszawie
23.20 „Kobieta to źródło zła” — program artys-tyczny

PROGRAM II

8.00 Powitanie
8.10 „Lucky Luke” — serial francuski
8.35 „Kamienne cienie Świętego Pola” — reportaż
9.00 „W labiryncie” — serial TP
10.00 CNN
10.15 Stanisław Moniuszko — „Litanie Ostrobramskie” II
10.30 „Wydra Pana Grahama” — film prod. USA, reż. Jack Couffer, wyk.: Bill Travers, Virginia McKenna, Peter Jeffrey
12.15 Stanisław Moniuszko — „Litanie Ostrobramskie” IV
12.30 „Sarkofagi” — reportaż
13.00 Kino dla młodych widzów: „Wiewiórka i czarodziejska muszla” — film czechosłowacki, reż. Vera Plivova-Simkova
14.10 „Bułat Okudźawa” — reportaż
15.10 Program dnia
15.20 „Jeśli zapomnę o nich” — reportaż
16.00 Film dokumentalny
16.40 „Jan Lechoń” — program Aliny Czer-niakowskiej
17.00 „Sekwencje o świętych polskich” Romu-alda Twardowskiego
17.20 „Listopad 1918” — film dok.
17.35 „Jesienna dziewczyna” — wspomnienie o Kalinie Jędrusiak
18.05 Pamięci górnikom Kopalni „Wujek”
18.30 „Betta Davis” — „Ten zły zły wulkan” — angielski film dok.
19.30 „Zakopiańskie nekropolie” — film dok.
20.00 „Henryk Wieniawski” — film dok.
21.20 „Przygody dobrego wojaka Szwejka” (4) — serial austriacki
22.20 „Pukam do drzwi kamienia” — Konkert z kościoła św. Boromusza w Warszawie
23.20 „Kobieta to źródło zła” — program artys-tyczny

Redaguje zespół: Aleksandra Ciecchanowicz-Sarata, Adam Derewicz, Piotr Dominiak (kier. działu ekonomicznego), Maria Giedz, Andrzej Golebiowski (sekr. redakcji), Izabella Greczanik-Filipp, Ewa Gronkiewicz, Maria Jarząbska (red. techniczny), Stanisław M. Królak, Grzegorz Kurkiewicz, Jarosław Kurski, Wiesława Kwiatkowska, Andrzej Liberadzki (red. naczelny), Maciej Lopiński, Wiesław Matuszek (red. graficzny), Aleksandra Paprocka (kier. działu społecznego), Jarosław Rybicki (kier. działu ilustracji), Tadeusz Skutnik (z-ca red. naczelnego), Mieczysław Sokółowski (kier. działu zagranicznego), Barbara Szczepta, Włodzimierz Szymański, Henryk Tronowicz, Dariusz Wasielewski (z-ca sekr. redakcji), Janusz Wikowski, Jarosław Zalesiński (z-ca sekr. redakcji), Maciej Żakiewicz, Stali współpracownicy: Tadeusz Ażiewicz, Wojciech Charkin, Grzegorz Dolecki, Tadeusz Jabłoński, Adam Pawłowicz, Wawrzyniec Rozenberg, Henryk Sawka, Aleksandra Skibińska (Hamburg), Barbara, Su-łek-Kowalska, Wojciech Turek.

Korekta: Małgorzata Danielewicz, Ludwika Listewnik, Wiesława Krause.
Zespół techniczny: Elżbieta Dębska, Anna Pellowa, Maria Skrzypek, Barbara Szymańska, Rafał Wianacki, Urszula Wolak.
Wydawca: „Przekaz” Spółka z o.o., 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 tel.: 31-80-62, 31-39-23.
Informacje o prenumeracie: tel. 38-44-00.
Indeks 379549 PL ISSN 0866-9198.
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowywania materiałów nie zamówionych. Za treść reklam i ogłoszeń nie odpowiadamy.
Skład i druk: Prasowe Zakłady Graficzne, spółka z o.o. 75-012 Koszalin, ul. A. Lampego 18/20
Numer zamknięto 22 października 1991
Zam. D-750

TYGODNIK GDAŃSKI

Adres redakcji: 80-855 Gdańsk
ul. Wały Piastowskie 24, pok. 105-107
Tel. 31-76-12, 38-44-08, 38-43-20,
38-43-65, 38-43-46
fax 31-71-21 telex 0513266 tygda

Cena 2500 zł

Number One (czyt. nambe łan) w ludzkim wymiarze

Pani Ela zdołała załapać się na okazji i zdążyła na czas z osiedla na krańcach Gdańska. Po wszystkim, odparowawszy nagromadzony entuzjazm, wróciła wtedy gablota według nocnej taryfy, mniej więcej za równowartość dziennego zarobku. A znów pani Ulla, cała w nerwach, papieros za papierosem, wreszcie doczekałszy się przewidywalnych wyników II rundy — przybyła na Wały Piastowskie aż z Gdyni. Ze znajomymi. Prawie w rok od tamtego triumfalnego wieczoru obie miłe panie nie żalują absolutnie onegdajszych trudów, skoro nagrodą było bezpośrednio, niemal namacalnie uczestnictwo w pierwszym po wyborze spotkaniu Elekta z Narodem. Dostąpiły zbiorowo zaszczytu udziału w słynnym powitalnym toastcie, owym „Zdrowie wasze w gardła nasze...” brzmącym z waszecia, po staropolsku, transmitowanym przez PR i TV na cały kraj. Dla generacji pań Eli i Ulli, niemal nastolatki, miał ów wieczer historyczny wymiar, jak dla poprzednich pokoleń Polaków bitwa pod Grunwaldem (1410), pogrom wraży Turków pod Chocimem (1621) albo Konstytucja 3 maja (1791). Nic dziwnego, bo w sensie pozytywnym przez 45 lat Peerelu niewiele się działo, w każdym razie niewiele na tzw. miarę epoki...

Przyznam tu z zażenowaniem, iż mężczyzna akurat atakiem podagry nie wybrałem się na Wały Piastowskie do „Akweny”, siedziby „Solidarności” — poprzedzając na obejrzeniu całego happeningu w telewizji. Otulony szkockim pledem nabytym w 1908 roku w Ostemdie, najmodniejszym wówczas kurorcie i zagryzając lyczek koniaku orzeszkami ziemnymi z solą patrzyłem w ekran szklanym okiem, a myśl natępna i przewrotna nasuwała wspomnienie Najjaśniejszej Wizyty Arcyksięcia Karola Franciszka Józefa Habsburga z Arcyksiężną Zytą w moim Krakowie, 30 czerwca 1912 roku. Od Skały Kmity aż do majątku Radziwiłłów w Balicach, tam gdzie dziś startują i lądują naddźwiękowe Migi 29, eskortowała arcyksiężącą parę banderia w trzysta koni, krakusi, a ja, podówczas członek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokol” w Królestwie Galicji i Lodomerii, byłem jednym z przebierańców.

Wróćmy do teraźniejszości, ściślej — do czasu przeszłego niedokonanego. Po zwycięskiej rundzie wzruszyliśmy się zbiorowo oglądając intronizację na Zamku Królewskim. Ten moment uznał Prezydent za narodziny Trzeciej Rzeczypospolitej, przecinając możliwości spekulacji co do numeracji i czury mędrkom-dziejopisom. Dla mnie był to napoleoński gest, porównywalny z koronacją Bonapartego na cesarza Francuzów (18 maja 1804 roku). Napoleon wyjął koronę z rąk zaskoczonemu papieżowi, by sam nadał ją na głowę, po

czym ukoronował first lady, piękną Józefinę. Przepraszam za skojarzenie... W każdym razie Pan Prezydent rok temu, wstępując na urząd, miał za sobą poparcie większości — tu zastanawiam się, czy większości narodu, czy tylko elektoratu? — wierzącej w rychłe ziszczenie przedwyborczych obietnic, które skróciło i hasłowo spróbuje z zawodnej pamięci wyliczyć:

- sto milionów dla każdego, by za to nabył kawałek jakiejś państwowej fabryki;
- obniżkę cen o średnio 50, a niekiedy i 100 procent;
- rychłe wycofanie wojsk obcych z Polski;
- członkostwo we wspólnotach europejskich;
- prosperity dla przemysłu okręgowego;
- reprimatywację mienia zabranego przez komuny;
- napływ kapitałów z zagranicy na korzystnych warunkach;
- koniec recesji gospodarczej;
- wyjaśnienie afer i puszczenie w skarpetkach winnych;
- pracę dla każdego chętnego, bo jest jej w Polsce dość;
- odsunięcie Żółwia, co nawet pchły złapać nie potrafi.

Przypominam o tym nie dla tzw. jaj, gdyż w moim wieku to już nie przystoi, lecz *bona fide*, by ułatwić Czytelnikom porównanie zapowiedzi z ich realizacją. Wiele z tego wciąż jeszcze w krzakach lub wręcz — jak owa obniżka cen o sto procent — jest od początku niewykonalne. Wprawdzie Piotr Wierzbicki w swej hołdownicznej broszurce kreował Lecha Wałęsę na nadczłowieka, jakieś „zwierzę polityczne” w nadprzyrodzony sposób znajdujące optymalne wyjście z każdej sytuacji, choćby najbardziej złożonej, a wtórował mu w tym Jacek Kurski, utalentowany młody gniewny z predylekcją do wyrazów obcych — ale tak naprawdę jest to tylko człowiek, niekiedy miotający się bezsilnie w zbyt wąskich dla jego osobowości przedziałach paragrafów obowiązujących ustaw. Stąd właśnie, z poczucia niemocy, biorą się wciąż powtarzane apele do narodu, by pomógł pomagając sobie sam, wołania o zatankowanie Głowy Państwa naszą rzekomą mądrością zbiorową do pełna, pod sam korek.

Wciąż patrzę na osobę Prezydenta z ufnością, że coś mu się w końcu musi udać, z sympatią zachowaną z niezapomnianych lat 80-tych, z podziwem. Krytykom, których nie brak, proponuję spojrzeć na nasz Number One we właściwym ludzkim wymiarze, jakim jest i jaki wybrałmiśmy przecież nie na rok, a na czteroletnią kadencję.

Trzy lata „z hakiem” wciąż w zapasie.
Jan Chrzan

Zbliża się czas pożegnań. Ze starym Sejmem, Senatem, rządem. Wiadomo jesień. Liście i uczucia wędzną, a czasem nawet czerwienią. Autorytety zwiędli już dawno temu. Uskarżała się na to nawet pani profesor od odchudzania w telewizorze, strofując grubasów, którzy słuchają dyletantów a nie fachowców i stosują „dięty życia”. A dookoła: samo życie...

W Sejmie odbyło się już pożegnanie SPRING-u (Społecznego Ruchu Inicjatyw Gospodarczych — skupiającego postów z różnych klubów) z wicepremierem Balcerowiczem. Jak doniosła „Gazeta Wyborcza”, posłanka Dynowska w pożegnalnym prezencie wręczyła Balcerowiczowi sztych — ilustrację do „Skapca” Moliera, zaś poseł Wilk (OKP) opowiedział kawał: „Ubogi człowiek je trawę przed Ministerstwem Pracy. Widzi to minister Kuroń, wchodzi ze swego gabinetu i daje mu 20 tys. złotych, by zjadł obiad w restauracji za rogiem. Następnego dnia ubogi je trawę przed Ministerstwem Finansów. Widzi to Balcerowicz, zbiega do niego, daje mu 2 tys. zł i mówi: »ma pan pieniądze na bilet i niech pan jedzie za miasto, tam jest świeższa trawa«”.

Mam wrażenie, że to kawał posła Wilka jest nieświeży. Być może był on aktualny w czasach, gdy Kuroń był ministrem pracy. Teraz pointa dowcipu powinna mieć zgola inne brzmienie. Mianowicie takie: „Widzi to Balcerowicz, zbiega do niego, nadstawia rękę i dramatycznie woła: »Ta trawa to własność Skarbu Państwa! Placi pan 20 tysięcy!«”.

W ramach kampanii wyborczej ascetyczny wicepremier nieźle wziął w skórę. Łatwo go było atakować, łatwo się od niego odciąć. Jeśli by potraktował serio zarzuty większości ugrupowań, to Balcerowicz wyrządził więcej szkód Polsce w ciągu lat dwóch niż komuniści w ciągu czterdziestu dwóch,

„Pamiętasz była jesień...”

a nawet czterdziestu pięciu. Poszczególne partie z dużym trudem produkowały programy gospodarcze, zresztą gołostawne i kalekie, ale każda potrafiła rzucić gromkie hasło „Balcerowicz musi odejść!”.

Takie same hasła słyszeliśmy także wcześniej podczas kampanii prezydenckiej. Wówczas jednak Balcerowicz pozostał, co tak naprawdę mogło zdziwić tylko tych, którzy uparcie biorą pozory za rzeczywistość. Jak będzie teraz?

Teraz czeka nas cała feeria pożegnań. „Wśród ptaków wielkie poruszenie — pisała ongiś Agnieszka Osiecka też jesienną porą — ci odlatują, ci zostają”. Tym, którzy pragnęliby zostać za wszelką cenę dedykuję dalszy fragment wspomnianej piosenki: „Gęsi już wszystkie po wyroku, nie doczekają się kołody, uciete głowy ze łzą w oku...”.

Jacyż to będą ci nowi posłowie? Czy ujrzymy wśród nich ponownie Łopuszańskiego i Niesiołowskiego z jednej strony sali oraz duet świętego Oleksego i grzesznego Sekuły z drugiej? Czy marszałek Kozakiewicz zostanie zdegradowany? Zabiorą mu bulawę, przeproszą, łaskę? A poza wszystkim, cóż to będzie za Sejm bez Michnika?

Nie chcę krakać, ale nawet gdyby Michnik dał się uprosić i kandydował, to niewykluczone, że będziemy wdychać za Kontraktowym, jak za Wolnym w 150 a nie 35 procentach. W nowym Sejmie na ławkach kilkudziesięciu klubów zasiądzie nieporównywalnie więcej czubatych dudków, wyliniałych papug, sfrustrowanych paw. Jak to się będzie wszystko kokosić i konstytuować na grzędach, zanim wybierze przyzdia, marszałków i przewodniczących?

A przecież nie tylko Sejm będziemy żegnać stary, a witać nowy, ale również rząd. Mazowiecki tworzył gabinet w niemal bizantyjskim stylu. Mało co przeciekało do opinii publicznej, a jak już przeciekało, to na ogół bulwersowało krewnych i znajomych Królika.

Kiedy Wałęsa wygrał wybory prezydenckie lista kandydatów do rządowych stanowisk (z króciutkimi tylko życiorysami) zajęła w „Tygodniku Gdańskim” bitą kolumnę. Samych potencjalnych premierów prezydent-elekt z początku wymienił aż czterech, a potem wymienił jednego na drugiego.

Obecnie kandydatów z szansami też jest kilku. Przede wszystkim sam Bielecki. O ile jego partia Kongres Liberalno-Demokratyczny nie poniesie klęski w wyborach, będzie mógł przedłużyć swoją misję. Cieszy się poparciem Wałęsy, a jako premier lokuje się także wysoko w sondażach. Mazowiecki z kolei uważa, że fotel powinien przyspaść szefowi ugrupowania, które zdobędzie najwięcej mandatów w Sejmie — a więc pewnie jemu. Wałęsie jednak kandydatura przewodniczącego Unii Demokratycznej nie bardzo odpowiada. Poza tym Mazowiecki ma konkurenta we własnym obozie. Jacek Kuroń wyraził już wcześniej zainteresowanie tęką premiera. W rankingach bije wszystkich konkurentów.

Słowem: zapowiada się ciekawa jesień. W czym utwierdza mnie wiadomość z ostatniej chwili: w „Teleexpressie” podano, że gęsi i żurawie nie spieszą się do odlotu. Co to może wróżyć prócz dobrej pogody?

Maciej Łopiński

Dział prewencji

Ziemniaki w kroczu

Wszyscy o wyborach, a ja o sztuce. W miesięczniku „O kay America” przeczytałam o artystce Karen Finley, której występy polegają na smarowaniu swojego, nagiego ciała czekoladą i obspypowaniu się zielonymi kiełkami fasoli (symbolizującymi męskie nasienie). W trakcie spektaklu pani Finley wygłasza monolog obrażający dobre imię Ameryki i pociera swe krocze ziemniakiem. Nie napisali czy ziemniak jest gotowany, czy surowy. Moim zdaniem najlepiej do tego celu nadaje się umyty, surowy ziemniak typu „bulwa”, jakich w kraju mamy pod dostatkiem.

Pod dostatkiem mamy też artystów, którzy w dobie bezrobocia z ochotą podjęliby się akcji na miarę popisów

pani Finley. Wraz z upadkiem mecenatu państwowego i artystów upaństwowionych przewiduje jakościową zmianę warty i rynkowy atak niezależnych artystów z kręgu radykalnego happeningu. Obserwując naszych polityków wierzę, że nowy Marcel Duchamp narodzi się w Polsce.

Oto kilka luźnych scenariuszy happeningów, zainspirowanych twórczością pani Finley, do wykorzystania w sezonie jesienno-zimowym.

Wariant pierwszy. Przebieramy się za Jerzego Urbana i z torebką frytek udajemy się do dużego i znanego kościoła katolickiego. W kościele aktywnie uczestniczymy w mszy świętej, rzucamy na tacę frytki i przystępujemy do spowiedzi.

Wariant drugi. Przebieramy się za Leszka Moczulskiego i z obrzyknem wdzieramy się do ambasady radzieckiej. Tu po odtańczeniu kazaczka przekazujemy karabin ochronie osobistej ambasadora, porywając jego żonę do dyskoteki, gdzie drobniogowo opowiadamy jej o twórczości artystycznej pani Karen Finley z USA.

Wariant trzeci. Przebrani za Adama Michnika demonstracyjnie zjadamy surowego ziemniaka w hotelu „Victoria” i w podejrzanym towarzystwie jedziemy popołudniowym ekspresem do Gdańska. W Gdańsku skaczemy przez płot prywatnej rezydencji Lecha Wałęsy i sprajem wypisujemy dowolny brzydki wyraz w okolicach sypialni prezydenta, wygłaszając monolog obrażający dobre imię Bangladeszu.

Krzysztof Skiba

NOWE PRZYGODY VABISIAKA!

WRÓCIŁEM, WIĘC TESTEM

PREZENTUJĄ HENRYK SAWKA i LUCJAN BABOLEWSKI

ODCINEK 5

OD RAZU TRAFIŁEM NA IDEALNĄ PARTIĘ...

PION IDEOLOGICZNY PRACOWAŁ PEŁNĄ PARĄ.

ODBYŁEM TEŻ KILKA SPOTKAŃ Z ZIELONAMI Z CZWARTEGO WYMIARU.

ZWROCIŁEM SIĘ POWNIĘŻ DO UGRUPOWAŃ EKOLOGICZNYCH...

...I IDEOLOGICZNYCH

NA KONIEC TRAFIŁEM NA ZIELONE, KTÓRE NIEMI NIE TRACI NA WARTOŚCI.

NIESTETY, MÓJ WYSIŁEK DAŁ ZWYKLE POSZCZÓŁ NA MARME.